Opłata pocztowa uiszczona gotówką

Cena 25 gr.



WOLA I CZYN

CZASOPISMO SPOŁECZNO POLITYCZNE

Wychodzi 5-go i 20-go każdego miesiąca

Rok II. Lwów, dnia 5 kwietnia 1938 r. Nr. 7.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Kopernika 42a, tel. 242-86. Konto P. K. O. Nr. 508250

A WIĘC JEDNA JEST DROGA...

Przemówienie Marszałka Śmigłego-Rydza na przyjęciu koła parlamentarnego O. Z. N. w Warszawie dnia 26 marca 1938 roku.

Szanowni Państwo!

Chcę skorzystać z tej miłej okazji, aby raz jeszcze już wszystkim państwu, nie tylko waszym reprezentantom złożyć gorące podziękowanie za waszą uchwałę, jasna i wyraźna decyzja waszego koła, była jak gdyby pierwszą iskrą tego potężnego prądu, który w kilka godzin później, tak mocno i niebywale wstrząsnął tyle piersi polskich. W ciągu kilkunastu następnych godzin mieliśmy w społeczeństwie naszym emocjonalną temperaturę w takiej skali i w takiej wielkości, jak to się w Polsce rzadko zdarza. Nie lubię przesadzać i przesadzać nie chcę. Jednak jeśli chodzi o moje przeżycia w tamtych godzinach, to muszę stwierdzić następujący fakt: mimo całego opanowania i trzeźwości, mimo tego, że to opanowanie zachowałem, że chłodno liczyłem wszelkie ewentualności, wszelkie możliwości, że pracowałem zimną głową to jednak w tamtych godzinach serca zimnego zachować nie mogłem. W tego rodzaju warunkach można zachować zimne serce tylko wtedy, gdy ma się albo bardzo dużo cynizmu, albo też dużo zawiedzionego, a więc na amen skwaśniałego egocentryzmu. Była to jak gdyby letnia burza, po której zawsze oddycha się pełną piersią, bo słusznie czy niesłusznie powiadają, że po takiej burzy zawsze jest dużo w atmosferze... ozonu.

Liczne depesze, które otrzymywałem z całej Polski, udowodniły mi, że to co się działo, działo się nie tylko w Warszawie, ale w całej Polsce.

Dla tego sądzę, gdy już kilka dni od tamtych czasów upłynęło, że jest rzeczą słuszną i wskazaną, abyśmy sobie zrobili krótki rachunek z tego, co się stało. Gdy się analizuje tę niedaleką przeszłość, dochodzi się do następujących wniosków:

1) Była to potężna manifestacja poczucia wspólnoty narodu. Każdy, kto miał serce polskie w piersi, czuł jak to serce bije przyspieszonym rytmem i z radością patrzył na drugiego, który manifestował to samo polskie serce.

2) Szerokie masy przejawiły głębokie wyczucie doniosłego interesu państwowego. Nie ulega wątpliwości, że to jest duży walor wyrobienia obywatelskiego.

Jeszcze raz zaakcentowano w sposób dobitny i silny łączność społeczeństwa z armią, z wojskiem. Sądzę, że tym mogą się martwić tylko wrogowie polscy, a nie Polacy.

Wreszcie czwarty punkt:

Nad tym czwartym punktem muszę się trochę dłużej zatrzymać. Poprzedzę go pewnym wstępem, pewną dygresją artystyczną.

Patrząc na przejawy naszego życia politycznego, niejednokrotnie mam wrażenie, że jestem w teatrze i że przede mną rozwija się pierwszy akt „Wyzwolenia" Wyspiańskiego. W tym pierwszym akcie jest jedna scena, gdzie przewódcy najrozmaitszych grup głoszą swe hasła, recepty, które nieomylnie mają doprowadzić do zbawienia Ojczyzny. Głoszą swe hasła z ogromną ekskluzywnością i bezwzględnością.

Dlatego, kiedy niejednokrotnie do mnie przychodzą ludzie czy to w piśmie, czy w słowie i z świętym zapałem powiadają: „dyktatura wojska", tylko „totalizm", albo tylko „demokracja", tylko „władztwo ludu", albo też taki lub inny „front", dodając bardzo często, że srogo będę odpowiadał za to, jeśli nie przyczynię się do zwycięstwa któregoś z tych „frontów" — to wtedy nie mogę oprzeć się wrażeniu, że oto patrzę na scenę z przytoczonej przeze mnie sztuki Wyspiańskiego.

Przyznam się, że jestem wrażliwy na działanie sztuki. Ale wrażliwszy jestem na głos obowiązku i mimo największych, najgorętszych wzruszeń, będę szedł zawsze tą drogą, którą mi sumienie iść nakazuje.

Po tej krótkiej dygresji wróćmy do tematu — do tego naszego czwartego punktu.

Otóż muszę w związku z tym stwierdzić, że w tych dniach, o których mówię, można było obserwować jeden niebywale znamienny objaw: mianowicie, że wszystkie recepty, wszystkie hasła, głoszone tak często i z taką uporczywością, ustąpiły miejsca gorącemu a powszechnemu pragnieniu zamanifestowania jedności wtedy, kiedy Polska jest w poważnej sytuacji.

Co to znaczy? To znaczy, że w głębi duszy szerokich warstw tkwi głębokie i silne poczucie, że gdy trzeba wykonać wielki i trudny obowiązek, to je wykona tylko Naród, jednością silny. Za zamanifestowanie tego poczucia należy się wszystkim serdeczne podziękowanie.

Rzecz prosta — mogły być jakieś nieopanowane impulsy, które nie zmieniają zasadniczego tonu i zasadniczego charakteru tych zdarzeń.

Nie był to, proszę państwa, tylko instynkt, który kierował tymi ma-



FUNCHAL, MADERA. „Quinta Bettencourt" — dom, w którym Marszałek Piłsudski mieszkał w roku 1931 w czasie Swojego pobytu (do art. na str. 12).

Konsolidacja na codzień

Czynnikiem decydującym dla pomyślnego zlikwidowania ostatniego epizodu polsko-litewskiego była niewątpliwie wewnętrzna sytuacja w Polsce. Jej wykładnikiem była jednomyślna i solidarna postawa opinii publicznej. Bez kagańca cenzury, bez tych sztuczek reżyserskich, w których celuje rzymski i berliński totalizm, ilekroć chodzi mu o zademonstrowanie „woli mas”, w atmosferze swobody sądów i przekonań, samorzutnie ukształtowała się ta opinia, by stanąć przy Naczelnym Wodzu i z góry podporządkować się jego rozkazom. Miało to — jak wspomnieliśmy — znaczenie rozstrzygające dla wyniku konfliktu. Zagraniczne czasopisma ilustrowane przyniosły w owych dniach jako syntezę stanowiska Polski — zdjęcia z manifestacji wileńskiej, a niezmierzone morze głów, falujące u stóp Marszałka Śmigłego, mówiło więcej, niż wszelkie komentarze i artykuły propagandowe. Sowiety, których postawa miała tak poważny wpływ na ostateczną odpowiedź Kowna, całą uwagę poświęciły obserwacji nastrojów w Polsce. Czy w tych godzinach napiętego wyczekiwania dojdą w Polsce do głosu stare różnice i antagonizmy? Czy rząd, który cały swój i państwa autorytet rzucił na szalę, znajdzie w swych obywatelach oparcie, czy też przeciwnie — oni zużytkują ów trudny moment do prezentowania dawnych rachunków? Czy prawdą jest, że wewnętrzny układ polityczny w Polsce — to generalny rozbrat między rządzącymi i rządzonymi, każdej chwili mogący wybuchnąć wulkanem rewolucji?

Te nadzieje i rachunki okazały się gruntownie złudne. „Próbna mobilizacja” — jak słusznie nazwano ów akt zbiorowej woli — stwierdziła, że ponad liniami podziału, ponad orientacjami i dysonansami może powstać jeden, wspólny rytm i ramię polskie uzbroić w moc, potrzebną do realizacji czynu.

Dlaczego jednak ów rytm ma być przywilejem tylko dni wyjątkowych? Dlaczego tylko Kowno ma być czynnikiem konsolidującym?

Bo przecież Polska posiada przed sobą zadania, wobec których fragment litewski nie jest wcale najważniejszym. Mamy do spełnienia i nadrobienia sprawy, decydujące nie o normalizacji stosunków na wąskim odcinku pogranicza, lecz o potędze i słabości, zwycięstwie i klęsce, bycie i niebycie. Czy dla tych zadań — Naczelny Wódz ustalił ich hierarchię — ma być rzeczą nie możliwą to, co osiągnięto dla złamania uporu małej Litwy?

Odpowiedzą niektórzy: właśnie tak jest, inaczej w momencie wyjątkowym, a inaczej codziennie. Wielkie „unisono”, wytworzone wobec konfliktu z Litwą, nie załatwiło niczego z tych sporów, które nas wewnętrznie dzielą. Stłumiło je tylko na chwilę i przesunęło na później. Tak samo mieszkańcy jednego domu, ogarniętego niebezpieczeństwem, zapominają o swych zatargach, ale nazajutrz oczywiście powrócą do nich. Bo nie są to urojenia, lecz sprawy rzeczywiste, które trzeba rozstrzygnąć, każdą z osobna, bo jest to proza codziennego życia.

A my odpowiemy: różnice między ludźmi były, są i będą. Nie istnieje system ani program, któryby je jako uniwersalny lek likwidował. Konsolidacja narodu tak pomyślana byłaby utopią i gorzej, bo uśmierceniem żywych procesów społecznych.

Ale też nie chodzi o to, by się łączyć w imię różnic. Podstawą konsolidacji są sprawy wspólne, dostatecznie liczne i ważkie, by móc nad jeden mianownik sprowadzić wszystkich Polaków.

I nikt im nie odmawia prawa do samodzielnego myślenia i działania w tysięcznych zagadnieniach spornych lub wątpliwych. To tylko tyrania totalizmu usiłuje „unormować” wszystko, od metafizyki po sypialnię. Od Polaków żąda się, byszli jedną ławą właśnie w sprawach bezspornych i niewątpliwych, by tu swe działanie indywidualne i grupowe zestrzelili, zgodnie z ekonomią wysiłku i efektu, by tu tylko wyrzekli się walki, by tu tylko zawiesili broń.

Zaiste nie jest to wiele dla narodu, pragnącego zachować swą niepodległość w tak niezmiernie trudnych warunkach i gotowego w jej obronie składać życie. I nie jest to postulat na dzień odświętny i na szczególną atmosferę entuzjazmu, lecz na codzień.

Deklaracja lutowa przez wszystkie niemal grupy polityczne określona została, a przez niektóre zlekceważona jako bezsporna. I to nie jest przypadek, że u fundamentów naszej akcji konsolidacyjnej leży ta bezsporność, umożliwiająca wszystkim wejście na teren współpracy. Reszta, w deklaracji nie zawarta, jest sporna. Reszta może być tak lub inaczej pojmowana i realizowana, jest funkcją koniecznych i dopuszczalnych różnic. Ale to, co jest poza nimi, równie jasne i oczywiste, jak problem litewski, wystarczy, by naród zjednoczyć także w trudzie codziennej pracy.

—o—

J. Kr.

POD ZNAKIEM ORŁA I POGONI

Konflikt polsko-litewski został szczęśliwie zażegnany. Podniosły się zamknięte na głucho bariery graniczne. Zaroją się drogi, którymi dawno nikt nie chadzał i ścieżki, od lat kilkunastu zielskiem zarosłe. Wkroczymy do Litwy nie jako zwycięscy, czy zaborcy, lecz — jak przed wiekami— jako sąsiad do sąsiada, wyciągając rękę na znak zgody i współpracy. Czeka nas wspólny trud i dawna, na czas pewien przerwana, misja dziejowa.

Konflikt polsko-litewski był chwilą historyczną, chwilą wielce znamienną. Wykazał siłę moralną obu państw: godność, solidarność i powagę decyzji polskiego narodu, a słabość, bojaźliwość i niezdecydowanie Litwy, rozpaczliwie szukającej poparcia u tych, co ją przez lat kilkanaście podżegali do walki z Polską, — a opuścili w chwili krytycznej. Okazało się raz jeszcze ,że naród może liczyć tylko na własne siły.

Konflikt polsko - litewski dał nam równocześnie doskonały przekrój pionowy i poziomy obu społeczeństw. Po stronie polskiej przekrój poziomy wykazał solidarność wszystkich warstw społecznych. W chwili tak ważnej znikły różnice socjalne, zatarły się granice klas. Zgodność była zadziwiająca. W przekroju pionowym konflikt ten odsłonił i wyodrębnił dwa burzliwe, nietwórcze elementy, dwa czynniki odśrodkowe. Obserwowaliśmy z jednej strony panikę żywiołów obcych, małostkowych, czułych jedynie na punkcie własnej kieszeni. Z drugiej strony obserwowaliśmy elementy, których mentalność nie może wyjść poza ciasne ramy partyjnego doktrynerstwa, dla których każda chwila, choćby najwznioślejsza, czy najsmutniejsza jest tylko okazją do realizacji własnych, podwórkowych celów. Run żydów na banki i wyjście Falangi na ulicę, wznoszącej okrzyki na cześć Piaseckiego przy akompaniamencie bitych szyb — to symptom, że w organiźmie państwa są ciała obce, nieorganiczne, szkodliwe. Większość jednakże narodu polskiego zachowała pełną powagę, stosowną w takiej chwili i tak niezbędnie potrzebną do wszelkich większych poczynań.

Konflikt polsko - litewski zakończył jeden okres. Okres, którego najlepszym bodajże określeniem jest wyrażenie Trockiego: ni pokój ni wojna. Zaczyna się epoka druga, epoka wzajemnych rozmów. Doprowadzić to musi prędzej czy później do wzajemnej współpracy i współżycia. Zapewne. — opory będą. Z tym się trzeba liczyć. Niejedną przeszkodę ustawią zawistni sąsiedzi, niejedną kłodę rzuci pod nogi szowinizm litewski. Kilkanaście lat cichej wojny Litwy z Polską nie może minąć bez śladu. Przeszkody te jednak są do usunięcia i muszą być usunięte, bo leży to w interesie obu narodów. A łączą nas nie tylko wspólne interesy gospodarcze, czy polityczne. Łączy nas coś więcej. Łączy nas wspólna kultura i wiekowa tradycja historyczna, tradycja, wynikła nie z podbojów i ujarzmienia, lecz ze wspólnej racji stanu. Ta racja stanu jest nam nakazem i dziś. Ta racja stanu wykazuje nam, że Polskę i Litwę łączy wiele, a dzieli jedynie kilka nieistotnych, drobiazgowych, czasem sztucznych przeszkód. To nam nie może uniemożliwiać współpracy. Każdy cel wielki trzeba czemś okupić. I te drobne przeszkody muszą być ofiarą złożoną w dani wielkiemu celowi, jakim jest wzajemne współżycie pod znakiem Orła Pogoni.

—o—

OD ADMINISTRACJI.

Prenumeratorów naszych prosimy o wyraźne i czytelne podawanie nazwiska i adresu, ułatwia to bowiem w dużym stopniu wysyłkę pisma.

W razie nieotrzymania pisma w terminie, prosimy reklamować w odnośnym Urzędzie Pocztowym, ponieważ Administracja wysyła pismo punktualnie i do wszystkich Prenumeratorów.

sami, według mnie była to głęboka mądrość.

Ale czyż ta mądrość ma być dostępna tylko w dniu odświętnym? Czy inne jest „Ojcze Nasz” na dzień powszedni a inne na niedzielę? Czy jest w Polsce ktoś, kto ma tak zaprzepaszczone sumienie, żeby twierdził, że Polska lepiej wyjdzie na niezgodzie, na kłótniach, na walce wewnętrznej niźli na jedności?

Czyż chodzi o program?

Każdy rozsądny człowiek, który umie korzystać z dobrego i złego doświadczenia ludzkości — każdy rozsądny człowiek, który nie przysięga na ewangelię egoizmu klasowego i walki klasowej — powinien przełamać trudności w wyborze programu, bo musi uznać, że po pierwsze: każdy człowiek aby żyć, musi jeść, musi odziać się, musi mieć dach nad głową i musi od czasu do czasu przynajmniej, mieć choćby jakiś lekki posmak, powszedniego zadowolenia życiowego.

Po drugie: każdy rozsądny człowiek musi uznać, że ponad tymi codziennymi potrzebami są potrzeby nadrzędne, cele wielkiej zbiorowości ludzkiej, żyjącej w państwie — czyli to, co się wiąże z przeznaczeniem, z losem i bytem Narodu.

Po trzecie: musi każdy uznać, że te pierwsze potrzeby codzienne dnia powszedniego i te drugie — wielkie — można zdobyć tylko zgodnym, zjednoczonym, skoordynowanym, rozumnie i nieugięcie kierowanym wysiłkiem wszystkich.

A więc jedna jest droga i wtedy, kiedy chodzi o kawałek chleba powszedniego, i wtedy, kiedy chodzi o wykucie piorunów, które mają strzec wielkości i majestatu Rzeczypospolitej.

Pamiętajmy o tym, przechodząc od dnia świątecznego do dnia powszedniego.

—o—

L. DOMOŃ

„Rola Wodza w życiu Narodu i Państwa"

(Fragmenty przemówienia wygłoszonego w Teatrze Wielkim we Lwowie 20. III. br. z okazji uroczystości imienin Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza.)

Wszyscy Polacy jesteśmy spadkobiercami testamentu J. Piłsudskiego a wykonawcą jego został najzdolniejszy uczeń, najbliższy współtowarzysz broni i przez cały szereg lat ciężkich walk o Polskę idący krok w krok za Józefem Piłsudskim, obecny nasz Naczelny Wódz Marszałek Śmigły-Rydz.

Wyszedł on nie z pałaców, nie z zamków, ale krew z krwi, kość z kości, polskiego ludu kresowego, z naszych tu ziem Młp. Wsch., z ludu twardego, upartego, zahartowanego w nieustannych walkach o Polskę narodową.

Historia jego życia to jedno słowo „walka" — najprzód walka o niepodległość Polski, później walka w niepodległej Polsce, a obecnie walka o wielką, sprawiedliwą i potężną Polskę.

Marszałek Śmigły-Rydz przebył wszystkie bitwy w Legionach, przebył wszystkie dni chwały, bohaterstwa i krwawych trudów I Brygady, nie zmarnował czasu, zahartował ducha i siły, jakby przeczuwając, że los powoła go do jakże trudnej roli Wodza Narodu.

Pamiętne są nam dobrze te dni, ten miesiąc i rok, o którym nie zapomnimy nigdy, lipiec 1917 roku, który oderwał Komendanta — od Polski na przeciąg długich, najcięższych miesięcy, aż po listopad roku 1918, kiedy to zamknęły się bramy twierdzy - więzienia za J. Piłsudskim i obozów-więzień za Legionistami za to, że byli szczerymi Polakami, że chcieli oni walczyć tylko za własny naród i za własne, wolne narodowe państwo.

Legiony jako formacja przestały istnieć — żyły jednak nadal w duszy społeczeństwa, wychowały żołnierza polskiego, stworzyły kadry wojska, wpoiły w naród ideę zbrojnego wysiłku i objęły komendę w Polskiej Organizacji Wojskowej.

Wtedy tu w kraju, pozostał z nami, tu dowodził i czuwał i kierował całą wielką podziemną pracą P. O. W. od Wisły aż po Dniepr i Don, od wielkich armii Niemiec i Austrii włącznie, do bezkresnych stepów rozpadającego się w proch, objętego płomieniem rewolucji państwa carów moskiewskich. Teraz pod bezpośrednim kierownictwem już płk. Śmigłego-Rydza wojskowy ruch polski przeżywa okres konspiracji i przygotowań. W krótkim czasie P. O. W., opierając się jedynie na swoich własnych siłach, szukając samodzielności jedynie w rozwoju stałym wewnętrznej siły moralnej, siły duszy, niekiedy tak pięknej i potężnej, że przypominać może największe wysiłki narodu, gdy walczył o swój byt niezależny, P. O. W. objęła siecią swej działalności, jak już wspomniałem, olbrzymi obszar Polski i państw sąsiednich.

W pierwszych dniach listopada 1918 roku naczelny komendant P. O. W. płk. Śmigły-Rydz, widząc rozprzężenie w rozbitych armiach państw centralnych, zarządza mobilizację P. O. W., rozbraja wojska niemieckie i austriackie. W ciągu kilku zaledwie dni 50 tysięcy przeważnie nieuzbrojonej młodzieży, dowodzonej przez legionistów, wychodzi z ukrycia i rozbraja około 400 tysięcy doskonale uzbrojonych Niemców i Austriaków, a równocześnie rozpoczynają się krwawe walki na krańcach Rzplitej z naszymi sąsiadami. I gdyby nie ta pewna część społeczeństwa polskiego, gdyby nie ten nieszczęsny podział społeczeństwa, ten snobizm i mędrkowanie tych ludzi, którzy do dziś z maniackim uporem i megalomanią twierdzą, że tylko oni mieli i mają nadal rację i tylko oni są uprawnieni do rządzenia i decydowania o losach Polski, P. O. W. mogła w r. 1918 liczyć nie na 50.000 ale 200 tysięcy ludzi i wtedy nie oddalibyśmy Śląska Cieszyńskiego, ani Spisza z Orawą, inaczej wyglądałyby walki o Lwów i niewątpliwie inaczej byłyby załatwione sprawy Warmii, Górnego Śląska, Prus Wsch., Gdańska i Litwy, w sprawie której obecnie społeczeństwo nasze tak gorączkowo występowało, jak gdyby zapominając o tym, że na straży nie tylko tej sprawy, ale na straży wszystkich spraw całej Polski stoi czujny i gotów w każdej chwili do czynu Naczelny Wódz Marszałek Śmigły-Rydz.

10 listopada 1918 roku płk. Śmigły-Rydz melduje się na czele wojska polskiego powracającemu z Magdeburga Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu, a następnie wyrusza na wojnę, walcząc aż do zwycięstwa o całość granic naszego odrodzonego Państwa. Przeprowadza cały szereg operacyj na wielką skalę jako dowódca: na wiosnę 1919 roku w ofensywie na Wilno, w zimie 1919—1920 na Dynaburg, a później kampanię łotewską i na wiosnę 1920 roku nad Dniepr. Dowodził on tu jak dawniej spokojnie, z rozwagą, z poświęceniem osobistym i niezwykłym talentem tylko już, jako wyższy dowódca, dowódca grupy operacyjnej i armii.

Gen. Śmigły mimo swych generalskich szlif nie różni się od dawnego obywatela Śmigłego. Trzeba było, to wchodził do okopów, trzeba było, to szedł w tyralierce z bagnetem w ręku do szturmu, wszędzie był, gdzie obecnością swą i przykładem trzeba było podciągnąć żołnierza do nadzwyczajnego, nieraz nadludzkiego wysiłku. Ubóstwiany przez podwładnych, dalej chodził nietknięty pośród świszczących pocisków karabinowych i wyjących granatów artyleryjskich.

W lipcu i sierpniu 1920 przychodzą ciężkie dni dla narodu naszego, bo możność utraty tego, co już się stało spełnieniem marzeń całych pokoleń. Ta chwila, to straszne niebezpieczeństwo pogodziło i zjednoczyło Naród Polski.

Naród przejrzał i zrozumiał, że w jedności jest siła i jedności tylko wódz dowodzić może — i cały Naród za swego wodza uznał Komendanta Piłsudskiego i jemu oddał swe serce i życie. I w roku 1920 zwyciężył Wódz Naczelny, zwyciężył siłą zjednoczonego Narodu, ofiarnością żołnierza, wiedzą swych oficerów.

Doniosłą rolę odegrał w tym zwycięstwie Gen. Śmigły-Rydz, poprowadził bowiem główne uderzenie z nad Wieprza, które w ciągu 6-ciu dni bez przerwy niemal nacierając na wroga rozbiło doszczętnie 4 wielkie armie rosyjskie, a dalej wspaniałymi posunięciami swoich wojsk zajął Grodno, Lidę, Radoszkowicze, Wilejkę, Mołodeczno i Święciany.

Te ostatnie bitwy to t. zw. okres walk nad Niemnem. Trwały one na tak olbrzymiej przestrzeni tylko miesiąc czasu, bo od września do 18 października. Jakżeż błyskawiczne, zdecydowane i niezwykle trafne musiały być decyzje i posunięcia gen. Śmigłego-Rydza. Były to ostatnie walki przed zawieszeniem broni, ostatnie krwawe boje i ostateczne ustabilizowanie się granic Rzplitej, po których przychodzi okres pracy pokojowej, pracy nad odbudową i rozbudową niepodległego Państwa Polskiego.

Po wojnie, obecny Marszałek Śmigły-Rydz cicho, skromnie pracuje na najwyższych stanowiskach nad organizacją i rozbudową armii, wzbudzając podziw dla swoich zdolności i charakteru u Marszałka Piłsudskiego, który na rok przed śmiercią jak gdyby w jej przeczuciu składa na ręce Pana Prezydenta Rzplitej następujące oświadczenie:

„Gdyby się coś ze mną stało, zastąpi mnie gen. Śmigły-Rydz".

Najważniejsza bodaj dziś w państwie rola naczelnego wodza wkłada na barki Marszałka Śmigłego-Rydza zaszczytne ale równocześnie odpowiedzialne zadanie. W razie wybuchu nowoczesnej wojny cała odpowiedzialność spada niemal wyłącznie na niego za prowadzenie i wygranie wojny, a więc za całość życia państwa w czasie wojny, gdyż obecnie udział w wojnie bierze wszystko, co żyje w granicach danego państwa.

Dlatego też cały szereg innych elementów w kraju obok armii musi sprawnie działać, a on jako wódz musi mieć na nie decydujący wpływ. Cały naród musi być odpowiednio przygotowany do wojny nie tylko materialnie, ale i psychicznie — musi się wytworzyć wolę zwycięstwa i odpowiedni nastrój, który zapewnia wysoki poziom moralny i wojsk i obywateli wewnątrz kraju. Dlatego też Naczelny Wódz obowiązany jest, po prostu musi zrobić w czasie pokoju wszystko, aby przygotować Naród i Państwo do zwycięskiej wojny. Aby tego mógł dokonać, musi mieć decydujący wpływ na całość życia państwowego, aż do spraw politycznych włącznie.

W Polsce prawie zawsze było tak, że Kresy i to przeważnie wschodnie dawały jej wodzów, którzy się rodzili z trudów wojennych i walk na polach bitew.

Nic więc dziwnego, że i w tym wypadku tak jest, że nie komu innemu a jemu to właśnie przypadło w udziale to potężne, ale zarazem tak trudne i tak odpowiedzialne a u nas tak niewdzięczne dziedzictwo Piłsudskiego.

Trudne, gdyż znaleźliśmy się na pograniczu, gdzie zaczyna się stopniowo odbywać przekazywanie służby narodowej przez jedno pokolenie drugiemu.

Chcemy temu pokoleniu przekazać Polskę sprawiedliwą dla wszystkich Polaków, potężną, silną politycznie, zespoloną jedną ideą i chcemy temu pokoleniu przekazać tak wielką miłość dla Ojczyzny, jaką myśmy mieli, gdy dla niej i za nią krew przelewaliśmy — by niepodległa była — i tak, jak myśmy tę niepodległość wywalczyli, chcemy, by przyszłe pokolenia wolności tej i niepodległości umiały obronić i krew swoją — gdy zajdzie potrzeba — ziemi naszej ofiarnie złożyły.

Polska musi być zjednoczoną i kierowaną tak w czasie pokoju, jak i w czasie wojny wolą jednego człowieka, by zachować swój byt niepodległy i spełnić dziejową swą misję. Trzeba mieć na uwadze, że narody niezgodne, niejednolite i niekarne zostają w tyle, spóźniają się i giną tak, jak zginęła z mapy Europy Austria.

Człowiek, który określa cele, stawia zadania i wskazuje drogi — to wódz, a naród bądź idzie tymi drogami sam o ile jest karny i rozumie swoje posłannictwo, bądź też musi być kierowany, w przeciwnym razie, albo się spóźnia w stosunku do innych, albo wogóle zabłądzi i nie dojdzie do wytkniętego celu i wreszcie zginie zepchnięty, gdy znajdzie się na drodze silniejszego. Tak musi być, nikt nic na to nie poradzi, bo to jest życie, bo to jest twarda logika rzeczywistości.

Dzisiejszy pokój wymaga większej siły, większej dyscypliny obywateli niż dotychczasowa wojna. To też nasz Naczelny Wódz Śmigły-Rydz, oceniając niezwykle trafnie swoje trudne zadanie, przekazane mu przez Komendanta, widzi tak jak nikt, że droga do wielkiej Polski, że poprostu warunkiem koniecznym istnienia Polski, jest zjednoczenie Narodu Polskiego.

W 1936 r. na zjeździe Legionistów Marsz. Śmigły mówił: „Jak można organizować państwo, jak można myśleć o uzdrowieniu czegokolwiek w państwie wtedy, kiedy się nie ma tej zorganizowanej, jednolicie kierowanej woli Narodu..."

I istotnie tylko tą drogą można przełamać marazm społeczny, tylko tym sposobem można pchnąć Naród Polski na drogę ekspansji, godnej 35-cio milionowego państwa.

Nie wolno Polakom słuchać złych podszeptów jawnych, czy ukrytych, wrogich nam elementów. Elementom tym zależy na słabości, chaosie i poróżnieniu Polaków. Jedni straszą nas totalizmami, straszą nabacznościowymi formami ustroju naszego Państwa, drudzy znów pragną absolutnej swobody indywidualnej w imię dawnej szlacheckiej tradycji, lub znów za podszeptem obcych — niech każdy robi co chce, bo to jest prawdziwa wolność i demokracja.

Czynią to często nawet Polacy, a wszystko za podszeptem czy inspiracją naszych wrogów, lub ze strachu, z własnej małości i dla osobistych celów, zapominając o tym, że tam gdzie chodzi o miłość Ojczyzny i jej bezpieczeństwo, że tam gdzie wchodzi w grę braterstwo narodowe, płynące z dobrej woli i serca każdego Polaka, że tam gdzie wszyscy dzielni, uczciwi i zjednoczeni Polacy są sobie równi, bez względu na zawód czy stan, że tam gdzie musi być szanowane prawo z konstytucją kwietniową na czele, że tam, gdzie na czele Narodu Polskiego stoi Wódz, syn ludu polskiego, jasne są i kierunek i droga do celu — a celem tym jest potęga Polski. Każda idea i praca zawsze jest taka, jacy są ludzie, którzy ją realizują, a przecież wszyscy dobrze wiemy, że czynią to ludzie, którzy już raz dawno zdecydowali się oddać życie za sprawę Narodu za Polskę i do śmierci w tym postanowieniu trwać będą, o czym zresztą świadczą następujące słowa wypowiedziane niedawno przez Marszałka Śmigłego-Rydza:

„Jak długo będę mógł być czynnym i jak długo będę miał możność pracy — celem tej mojej czynności i pracy będzie to, by

JAN RUCIŃSKI

A powinni milczeć

Jeżeli dwaj zażywni panowie z początkami podagry podczas poobiedniej czarnej kawy, przy deszczowej pogodzie, odsuną w pewnym momencie szklanki i, łypiąc oczyma, zaczną filozoficzny wywód, że gdyby nie anteny radiowe, wymyślone przez żydowskich fabrykantów głośników, nie byłoby niepogody i porządni ludzie w statecznym stanie nie czuliby żadnych cierpień fizycznych,

jeżeli dwaj studenci po egzaminie, zakończonym notą nr. 5, poprowadzą wywód o ciotecznej siostrze teściowej profesora, buntującej go przeciw szlachetnej witalności młodego pokolenia, które powinno spędzać w tysiąc i jeden sposobów pożyteczniej czas, niż nad książką,

jeżeli dwie damy od wszystkiego, na skutek interesującej wymiany opinij o wrażeniach z tańcówki niedzielnej, wymiany zdań prowadzonej w tempie zbyt dyliżansowym, przyprawią pieczeń poniedziałkową o smak piołunu i kolor węgla kamiennego przywołane zostaną do porządku i wyjaśnią, że nie ich wina, ale krów, rzeźnika i wogóle dzisiejszego pokolenia bydlęcego, co to nawet porządnego mięsa nie dostarcza,

to we wszystkich wypadkach, na ślepo powiedzieć można, że całe to bractwo, bez względu na różniące je dykasterie, stanowisko społeczne, temperament i wykształcenie, że to towarzystwo powiadam, wychowane zostało na pismach samego wielkiego Romana Dmowskiego. W tym twierdzeniu jedna tylko będzie przesada. Oto nie wszyscy oni czytali Dmowskiego, ale nie mniej wiernymi są jego uczniami, zagorzałymi entuzjastami i nieodrodnymi dziećmi duchowymi. Myślą jak mistrz i jego szkoła.

Cokolwiek się stanie, endek nie szuka przyczyn logicznych, naturalnych. Nigdy nie zawiniło postępowanie, nigdy nie wchodzą w rachubę czynniki wewnętrzne, przyczyny wszelkich zjawisk są już oddawna, tkwią niejako w każdej rzeczy a przyczyna ta zawsze jest ta sama. Endek ma ułatwione życie i na wszelkie dolegliwości zawsze receptę gotową.

Szczęśliwi ludzie! W towarzystwie okazują zadziwiający, płomienny fanatyzm, odmieniając po tysiąc razy słowo naród w różnych formach i nigdy nawet nie zająkną się, gdy ich kto zapyta, a dlaczego np. Roman Dmowski przehandlował z carem-batiuszką ziemie litewskie, zrzekając się do nich praw historycznych.

Właśnie w ostatnich dniach byliśmy świadkami niezwykłego szału endeckiego na temat Litwy. Gdy Rząd uznał za rzecz niedopuszczalną dalsze tolerowanie anormalnego stanu stosunków polsko-litewskich i wysłał notę do Kowna, zawodowi pomniejszyciele ojczyzny, jak nazwano kiedyś Dmowskiego i jego satelitów, podnieśli larum i łapami, poparzonemi lontem niejednej petardy, porwali sztandar państwowy by, jako wyraziciele całego Narodu, domagać się aktywnej polityki wobec Litwy. Ci sami ludzie, których usta od urodzenia pełne są jadu i nienawiści do każdej prawdziwej wielkości, te usta, które swego czasu, gdy Haller nie kwapił się do Polski, a Lwów krwawił się o własnych siłach najgłośniej dęły w trąby jerychońskie i panikę w kraju siały, ci sami, którzy w najkrytyczniejszych dla Ojczyzny chwilach do Poznania czmychnęli, ci, których produkt na Pierwszego w kraju Obywatela czynnie rewolwerem się targnął, ci sami nieprzerwanie wichrzący i dziś o Hiszpanii dla Polski marzący — oni to właśnie uznali za stosowne stać się wyrazicielem woli Narodu i do czynu nawoływać.

Oni i — czyn. Oni i — Litwa.

W tej niesamowitej, wszelkiej przyzwoitości pozbawionej metodzie, jedno tylko zgadza się z historią. Endecja była partią, która nieodmiennie steruje tam, gdzie wygodnie, gdzie efekt działania jest doraźny, gdzie ryzyka nie ma i gdzie można upiec pieczeń partyjną. Że dwa dni przedtem głosiło się coś odmiennego, nikogo to nie obchodzi. Historia zawsze była słabym punktem endecji, która wszelkiej prawdy minionych dni nie znosi. I słusznie. Któżby chciał czytać ciemne, czarne karty dziejów, któżby chciał, by pokazywano mu stronice historii przez endecję krwią zapisane, krwią Polaków, najlepszych patriotów, którzy odwagę mieli przeciwstawić się hurra-narodowej polityce. Bo nieprawdą jest, że teror endecki zaczął się w dziejach Odrodzonej Rzeczypospolitej, że w naszych dopiero czasach najbardziej narodowa jest najbardziej dla Narodu szkodliwą partią, wszystko to już było i wciąż się powtarzało w latach przedwojennych i podczas wojny światowej.

I niechaj nikt się nie dziwi bohaterstwu bojówek mec. Kowalskiego z Łodzi, bo — o czym zapomniano, — mec. Kowalski prochu nie wynalazł. Władysław Pobóg — Malinowski w pracy swej o Narodowej Demokracji pisze m. in.: „I w pierwszym, i w drugim okresie walk (1906—7) mordowano socjalistów w sposób istotnie „dziki". „Zabójstwa — pisał Łodzianin" — nosiły charakter jednakowy: bandy sokolskie napadały na mieszkania, lub też na przechodzących socjalistów i mordowały ich. Że walki te były organizowane — najlepszym dowodem jest, że zmieniały one miejsce i rzadko jednocześnie odbywały się w kilku punktach miasta. Możemy nawet wykazać krwawą marszrutę tych band. „O stopniu „dzikości" tych mordów świadczą słowa „jednego z wybitnych działaczy narodowych" o przebiegu walk, a raczej o pogromie „żydów i socjalistów" w dniu 7 kwietnia: „wieczorem wezwaliśmy naszych robotników na ochotnika — stanęło ich więcej, aniżeli posiadaliśmy broni, reszcie poleciliśmy czekać. W sobotę żydzi jeszcze działali zaczepnie; naszych padło 8, rannych 4, ogółem 12; socjalistów i żydów taka sama mniej więcej cyfra. W niedzielę socjaliści zrejterowali, nasi się tylko mścili za zabitych i zabili 20 socjalistów. Tak samo w poniedziałek i wtorek". Władze rosyjskie ani myślały nawet przeciwdziałać. Co więcej — uznając krwawe rozprawy międzypartyjne za wygodny dla siebie i wypróbowany środek stłumienia buntu, użyczały swego poparcia i bądź to prowokowały napady, bądź to dostarczały narodowcom rewolwerów po trzy ruble od sztuki.

Piękne! Narodowcy dostają od Moskali rewolwery, aby mordowali socjalistów, nie ten dzisiejszy tzw. folksfront, ale jedynych wtedy bodaj aktywnych bojowników o **Niepodległość Polski**. A mordowali ich narodowcy za łaskawym przyzwoleniem carskich siepaczy! Robili to ci, którzy na ciemny tłum szelowców tak patriotycznie się oburzają..

Takie stanowisko endecji nie jest jednak niczym nadzwyczajnym. Wszakże w tym mniej więcej czasie prowodyrzy endecji w trakcie poufnych pertraktacyj ze Stołypinem — cytuję dalej Malinowskiego — zgadzali się m. inn. na wyłączenie Chełmszczyzny w osobną gubernię rosyjską i „moralne oddziaływanie" na galicyjskich polityków polskich w kierunku, aby „Polacy nie przeciwdziałali walce o prawa kulturalne tej części ludności małoruskiej w Galicji, która nie przyłączyła się do mazepińskiego ukrainizmu".

Jeżeli przypominamy jeden fragmencik, — rozhowory z ciemiężycielem Narodu — to sprawiedliwości gwoli należy też przytoczyć inny fragment, a mianowicie jak podpora Romanowych zwracając się do wielce zasłużonego przywódcy Polaków, żyjącego na emigracji, oceniał pełną widocznego dla wszystkich poświęcenia, bezprzykładnego bohaterstwa i nawyższej etyki działalność Bojowej Organizacji P .P. S., kierowanej przez Józefa Piłsudskiego. W liście z datą 9 kwietnia Roman Dmowski pisał do Z. Miłkowskiego (T. T. Jeża) m. inn. „Cały ten syfilis polityczny, którym nas zarażali Moskale przez lat czterdzieści wysypał się obecnie... Socjały w r. z. uwierzyły, że przyszedł czas obalić carat ...Wierząc w rewolucję, utworzyli sobie drużynę bojową, złożoną z chłopaków od lat 15 do 20, z robotników bez pracy, z nożowców i złodziei nawet zwyczajnych. Dla tej drużyny sztabem są Żydzi, histerycy i najzwyczajniejsi wariaci (już 100 ich przewieziono z Cytadeli do szpitala dla umysłowo chorych — to jest fakt notoryczny). Dziś w prędką rewolucję wierzyć przestają, ale drużyny nie rozpuszczają, bo by się nie dała, choćby chcieli. Te drużyny trzeba utrzymywać, żywić — więc rabuje się dla niej kasy i ludzi prywatnych Drużyna zaczyna być celem sama dla siebie — organizacja tedy rewolucyjna przekształciła się stopniowo w szajkę bandytów, gorszych od zwykłych, bo oprócz rabunku szerzących bezcelowe zniszczenie. Z taką tedy rewolucją zmuszeni jesteśmy walczyć na noże".

Nie dziwmy się ponurym kartom czasów carskich, czy Augusta Poniatowskiego, jeżeli dziś żyją wśród nas i w splendorze chadzają autorzy takich pism i jeżeli oni znajdują jeszcze masy do przewodzenia im. Bożyszczem akademików stał się ten sam Roman Dmowski, który swego czasu, za antynarodową politykę, w czasach carskich, przez młodzież akademicką, na znak protestu, wypoliczkowany został.

—o—

Polska zawsze z każdej sytuacji mogła wyjść zwiększona w swej potędze i powadze.

Wasze sumienie obywatelskie słusznie podyktowało wam słowa o konieczności zwarcia szeregów Narodu. Historia, której powiew w tych dniach tak wyraźnie przeciąga nad naszymi głowami, od dłuższego czasu stawia Polakom pytanie: Czy potrafią z serc swoich usunąć drobne nałogi i przyzwyczajenia a nawet sentymenty, by zrobić miejsce dla wielkiej, potężnej miłości Polski, czy potrafią odróżnić rzeczy małoważne od rzeczy istotnie ważnych, czy potrafią ujrzeć i rozstrzygnąć najważniejsze zagadnienia przeżywanego przez nas dziś okresu historycznego?"

Idea ta jest jedynym warunkiem istnienia Narodu Polskiego i narodowego Państwa Polskiego i dlatego jest ona tak wielka i potrzebna i dlatego musi być zrealizowana czy się to obcym, lub nawet niektórym rodakom podoba, czy nie.

Niech żyje twórca idei zjednoczenia Narodu Polskiego — Wódz Narodu Marsz. Śmigły-Rydz!

—o—

Kto zawinił?

Na marginesie sprawy Wójcikowskiego

W poprzednim numerze „Woli i Czynu", — podając przebieg sprawy pobicia studenta Wójcikowskiego, wyraziliśmy pretensje pod adresem prokuratury, że zbyt późno wszczęła dochodzenia, pozwalając tym samym przestępcom zatrzeć ślady swego zbrodniczego czynu.

Dowiadujemy się obecnie ze źródeł miarodajnych, że prokuratura nie ponosi w tym wypadku winy. Zawiniły w tym wypadku czynniki, z natury rzeczy powołane do czuwania nad bezpieczeństwem obywateli. O napadzie na studenta Wójcikowskiego powinien był donieść władzom w pierwszym rzędzie rektor uczelni a następnie organa bezpieczeństwa.

Nie chcemy wchodzić w to, dlaczego zawiadomienie władz i wdrożenie dochodzeń stało się tak późno. Sensacyjne oświadczenie dygnitarza uniwersyteckiego na ten temat, które podaliśmy w poprzednim numerze, rzuca dostateczny snop światła na tę sprawę.

Redakcja.

Tydzień propagandy Polskiego Związku Zachodniego: 30. III — 6. IV 1938 r.

Z ŻYCIA GOSPODARCZEGO

WIEŚ I C. O. P.

Dla rolnictwa województwa lwowskiego fakt stworzenia Centralnego Okręgu Przemysłowego jest faktem o znaczeniu nader doniosłym, wydarzeniem, które może być określone nawet mianem rewolucji gospodarczej. Z województwa lwowskiego, liczącego ponad trzy miliony mieszkańców — więcej niż cała Litwa, czy Norwegia — i obejmującego 26 powiatów, wchodzi w skład C. O. P. osiem powiatów, a to: przeworski, rzeszowski, łańcucki, jarosławski, tarnobrzeski, kolbuszowski, lubaczowski i niżański.

Powiaty te, zarówno pod względem obszaru, jak i ludności, stanowią jedną czwartą województwa lwowskiego. Mieszka tam prawie 800.000 osób, z których 84% stanowi ludność wiejska. Niestety wieś nie jest w tych stronach bogata. Siedemdziesiąt procent włościaństwa, a więc prawie pół miliona osób, żyje na gospodarstwach karłowatych. Rolnictwo mogłoby bez szkody dla siebie zrezygnować ze 150.000 osób, czyli, że tyle wynosi nadmiar, który może i powinien być skierowany do innych gałęzi wytwórczości, powiedzmy do przemysłu. Oczywiście że dla tych ludzi, z chwilą powstania C. O. P., otwierają się duże możliwości.

Jakże wygląda sytuacja w chwili obecnej? Mija prawie rok, odkąd zaczęły się pierwsze prace w C. O. P. Rozbudowa postępuje tam naprzód w tempie prawdziwie amerykańskim, a polscy inżynierowie powinni być dumni z tego, co na tych terenach zostało już dokonane. Lecz w tej chwili chodzi nam o inne zagadnienie, a mianowicie, o ile wieś odczuła już dobrodziejstwo COP i jaki ona bierze udział w tym wielkim dziele.

W pierwszej chwili zapanowała niebywała haussa na grunty. Ceny podskoczyły niekiedy tak fantastycznie w górę, że np. pewien gospodarz,który miał mały grunt w Rzeszowie sprzedał go za 200.000 zł i kupił za te pieniądze folwark. Pewna instytucja komunalna w innym powiecie, mająca teren oszacowany niedawno na 8 tys. zł nie chce go teraz sprzedać poniżej 40 tysięcy. Stwierdzić jednak należy, że amerykańska koniunktura na tereny minęła i chwilowo nie istnieje. Fabrykanci kupili już place, które były dla nich niezbędne, tak że okres gorączki terenowej należy do przeszłości. Zjawisko to zresztą korzystne, bo rolnik nie powinien snuć fantastycznych planów i marzyć o spekulacjach, co na dłuższą metę jest ze wszechmiar szkodliwe. To jednak, że ceny gruntów utrzymują się nadal na wyższym, niż dawniej poziomie, przy spokojnej jednak tendencji, jest zjawiskiem dla rolnictwa korzystnym.

Ceny produktów rolnych w niektórych miejscowościach w pierwszym okresie gwałtownie podniosły się. Rynek lokalny nie był przygotowany na zaprowiantowanie nowych ludzi, i stąd często duże kłopoty przy dostarczaniu żywności do pewnych miejscowości. Zjawisko to obserwowano jednak tylko w pewnych okolicach. Np. w samym Nisku ceny nie drgnęły nawet. Teraz prace, zmierzające do uporządkowania rynku aprowizacyjnego i zorganizowania go, są w pełnym toku. Stworzono Tymczasową Radę Gospodarczą dla C.O. P., w skład której wchodzą przedstawiciele samorządu rolniczego i Izb Przemysłowo-Handlowych woj. lwowskiego, krakowskiego i kieleckiego. Prezesem Rady jest prezes Lwowskiej Izby Rolniczej dr. Papara, a sekretarzem inż. Piotr Suchodolski z Lwowskiej Izby Rolniczej. Dla terenu lwowskiego stworzono Komitet Wykonawczy Rolnictwa w Rzeszowie, którym kierują sami miejscowi chłopi, chłop jest więc prezesem, chłop sekretarzem itd.

Odbyto kilka zjazdów, a w wyniku ich osiągnięto ważne rezultaty: Po pierwsze zahamowano niezdrowy pęd ludności z innych stron do C. O. P., tłumacząc chłopom, że na razie trzeba spokojnie pracować, a nie hazardować się i urządzać niezdrowe wyścigi, jak kiedyś w Klondyce, po drugie zaś i to jest najważniejsze, zainteresowano Centralnym Okręgiem Przemysłowym ludność miejscową, która — dziwnym zbiegiem okoliczności — wogóle się nie interesowała tym, co się wśród niej działo. Chłop nie chciał nawet zawieźć do Pławna np. produktów rolnych, choć niewątpliwie słyszał, że ceny są tam wyższe, niż na małomiasteczkowym targu. Teraz inicjatywę prywatną już pobudzono i równocześnie rozpoczęto na szeroką skalę zakrojoną pracę założenia spółdzielni. Inicjatorzy tej akcji znaleźli u chłopa największe zrozumienie.

Chłopi zgłosili gotowość współpracy i nie zawiedli. Aprowizacja Okręgu to jednak zagadnienie o wiele szersze. Tu nie chodzi tylko o dostarczenie produktów do tej, czy innej miejscowości, ale o wytworzenie produktów w takiej ilości jaka jest potrzebna, aby nie być skazanym na dowóz, aby Okręg był w dziedzinie aprowizacji samowystarczalny. Wprawdzie powiaty południowe mają nadwyżkę, zarówno w produktach roślinnych, jak i zwierzęcych, ale za to trzy powiaty północne, o glebie bardzo lichej, piaszczystej i dużych obszarach zalesionych, są deficytowe, a deficyt ten pogłębi się jeszcze, gdy, naskutek zarobków, chłop zacznie się lepiej odżywiać. Nie zapomnijmy bowiem, że strony te mają najgęstsze zaludnienie rolnicze nie tylko w Polsce, ale na całym świecie, z wyjątkiem Japonii i niektórych obszarów Chin. Na 100 ha ziemi rolniczo użytkowanej przypada tu 180 mieszkańców, gdy przeciętnie dla całego województwa wynosi 96,8.

Największą bolączką ośmiu powiatów i zaporą na drodze do samowystarczalności aprowizacyjnej są... konie, których trzyma się na tym obszarze o 37.000 sztuk za dużo! Chłop ma ambicję chowania koni, chociaż drobne gospodarstwa powinny pracować tylko krowami czy wołami. Konie zjadają około 110.000 q owsa rocznie, gdyby więc konie zredukowano, zwolniłby się wielki obszar pod uprawę innych zbóż. Jest nadzieja, że powoli uda się ludność przekonać o szkodliwym kulcie dla rumaków, które teraz uchodzą za dowód bogactwa i powagi gospodarczej. Akcję propagandową zrzeszeń rolniczych ułatwi groźny konkurent konia, który się masowo teraz pojawia, a którym jest... rower.

C. O. P. przeżywa najmłodszą fazę motoryzacji. Młody robotnik jedzie rowerem do pracy, jako środkiem lokomocji najtańszym. Nie ulega wątpliwości, że pod wpływem roweru szkodliwa gospodarczo miłość do konia nieco zblaknie, a wtedy nastąpi generalna rewizja pojęć i systemu gospodarczego.

Dodać należy, że wogóle system uprawy ziemi ulegnie przeobrażeniom. Produkcja ze zbożowej przejdzie niewątpliwie, zwłaszcza w pewnych okręgach, na warzywniczo-nabiałową, gdyż te produkty będą się lepiej opłacać. Organizacje spółdzielcze, które powstają powoli, ułatwią zbyt tych produktów. Oczywiście, że będzie też miejsce na zakłady przetwórcze produktów żywnościowych, fabryki konserw, suszarnie jarzyn itd. W dziedzinie hodowlanej nastąpi też pewne przesunięcie, gdyż dotąd tuczy się nieroganą cizną dla bekoniarń, pracujących na eksport. Słoninę itp. sprowadza się narazie z woj. lubelskiego.

Ruch spółdzielczy rozwija się obecnie najsilniej w rzeszowskim. Niestety — jak w okresie pierwszego zapału zawsze bywa — niektóre pociągnięcia budzą zastrzeżenia. Tworzy się nawet cegielnia w formie spółdzielni, chociaż ludziom tym wytłumaczono, że taka forma spółki jest dla przedsiębiorstwa w rodzaju cegielni najmniej wskazana. Nie ulega jednak wątpliwości, że życie samo zlikwiduje pewne przerosty, które na początku każdej akcji są nieuniknione.

Dotychczas mówiliśmy o pośrednich korzyściach, jakie odnosi ludność z COP. A jakie są korzyści bezpośrednie? W Rzeszowie samym problem bezrobocia został całkowicie prawie rozwiązany, ale na wsi, jak wspomnieliśmy, jest około 150 tys. ludzi zbędnych. Przewiduje się, że na jesień fabryki zatrudnią 30.000 nowych ludzi. Aby system zatrudnienia oprzeć na racjonalnych dla wsi zasadach, przystąpiono do układania spisu najbiedniejszych i listy te przedłożone zostaną fabrykom, oraz Funduszom Pracy, aby tych przede wszystkim zatrudnić. Zasadą organizacyj rolniczych jest, aby z każdej rodziny zaangażować najpierw po jednym człowieku, a dopiero gdy z chaty każdego biedaka ktoś będzie już na stałe pracował, możnaby zająć dalszych członków rodziny. W ten sposób podział byłby sprawiedliwy. Oczywiście, jeśli ktoś będzie nicponiem, fabrykant przepędzi go i na to rady nie będzie, ale jeśli materiał ludzki dopisze, to zasadę tę można będzie przeprowadzić.

Pierwsze doświadczenia z młodzieżą, zatrudnioną w fabrykach, nie są dla społecznika zachwycające. Robotnik jest dobry, ale zato demoralizuje się szybko gdy dostaje pieniądze i rychło je puszcza. W jednej tylko wiosce, gdzie idzie już fabryka, w sobotę właściciel szynku ma 3000 zł utargu. Jak na wódkę, suma to jednak za wielka, choć dobrze rozumiemy, że wygłodzony i wynędzniały młodzieniec, skoro się dorwał pieniędzy chce użyć. Przypuszczać należy, że ten szał wydawania pieniędzy rychło ustąpi. Niewątpliwie P. K. O. rozwinie w C. O. P. propagandę oszczędnościową, a resztę dokonają spółdzielnie i Strzelec, który się organizuje. Owszem — niech robotnik wyda na czapkę, czy ubranie, niech się odżywia lepiej i niech wyjdzie z nędzy, ale niechaj pomyśli przy tym o odkładaniu oszczędności, by móc potem zakupić sobie własny grunt i być gospodarzem całą gębą, a nie, jak jego rodzice, komornikiem, czy właścicielem 2 morgów, z których niepodobna wyżyć, zwłaszcza, przy niezwykle licznych rodzinach, co w tamtych stronach jest typowym zjawiskiem.

Miejscowe władze i czynniki obywatelskie zabiegają nie tylko o zatrudnienie miejscowych robotników, ale też o pracę dla miejscowych firm. Dotychczas wszystko pochodzi z Warszawy, Katowic lub z innych miast, a nic ze Lwowa, czy woj. lwowskiego. Nawet kloce z miejscowych lasów wysyła się do Bydgoszczy, a stamtąd dopiero wracają one jako deski, kupione oczywiście u firm bydgoskich. A wszak byłoby taniej kupować drzewo na miejscu, zwłaszcza, że i tartaki są w pobliżu...

Ponieważ 30.000 zatrudnionych nie rozwiąże problemu pracy dla wszystkich, wysunięto projekt rozwinięcia przemysłu chałupniczego. Zwrócono się już do Kuratorium z prośbą o urządzenie jednorocznych kursów przy szkołach zawodowych. Przemysł domowy tkacki, żelazny, wikliniarski i drzewny mają na miejscu zbyt zapewniony. Chodzi tylko o fachowych pracowników i organizatorów.

Ponieważ chłop dowiódł, że ma zrozumienie dla C. O. P. można być przekonanym, że wszystkie problemy będą wkrótce szczęśliwie rozwiązane.

Musimy stać się panami sytuacji...

Z obrad Związku Ukraińskich Kupców i Przemysłowców

W lutym b. r. odbyło się Walne Zebranie Związku Ukraińskich Kupców i Przemysłowców w sali „Besidy" we Lwowie. Pomijamy tu fakt złożenia hołdu metr. Szeptyckiemu, zajmiemy się tylko stroną gospodarczą tego zebrania, przytaczając zresztą tylko głosy prasy.

„Prezes Związku dyrektor Skoplak stwierdził, że Ukraińcy dysponują już teraz ponad 6.000 sklepów z ukraińskimi szyldami. Organizacja liczy 35 poddodziałów. Ukraiński Prom. Bank (Bank Przemysłowy) w ubiegłym roku miał obroty w wysokości 10 milionów złotych. Rok bieżący — mówił musi zmienić nasze oblicze do niepoznania. Musimy przyśpieszyć bieg wydarzeń naszego rozwoju ekonomicznego i stać się bodaj częściowo panami sytuacji, aby częściowo się uniezależnić, a nasza niezależność zapewni nam lepsze jutro tylko przez handel, przemysł i rzemiosło.

Związek kupców ukraińskich i przemysłowców liczy 4.089 zwyczajnych członków. W ubiegłym roku przybyło nowych 1.821 członków. — Związek postawił sobie za cel fachowe szkolenie kandydatów na kupców. Dotąd urządził trzy kursy branżowe. Kursy dokształcające u rządziły też w ubiegłym roku pododdziały Związku w Stanisławowie i Jaworowie. Największą jest liczba kupców spożywczych. Z tego powodu Sojuz przystąpił do organizowania hurtowni, których już jest 10. Prezesem Związku został ponownie wybrany dyrektor Jarosław Skoplak, do Zarządu weszli: M. Kowaliw, Koniuch, J. Łomaga, inż. Popowicz, Gerasimowicz, inż. W. Ryżewski, inż. W. Kindyj, inż. A. Milianycz, I. Pohawka, E. Dumyn, W. Tracz Tarnopol i Zajączkowski Zbaraż". („Chwila").

Nie mamy nic przeciw Ukraińcom i ich pracy gospodarczej, pragniemy jednak podkreślić, że stan obecny winien zachęcić czynniki polskie do wzmożonej akcji na odcinku przemysłowo-handlowym.

WŁADYSŁAW ŚLEDZIŃSKI

O więźniach, którzy wyrokami sądów będą „skazani" na wolność..

W dziennikach ukazało się słowo „amnestia". Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że nie ma tak bardzo bezwględnych zwolenników regulowania porządku społecznego za pomocą więzień, którzyby z powodu krążących wersyj na temat amnestii podnieśli protest przeciwko otwieraniu bram więziennych.

Ze słowem „amnestia" kojarzy się słowo „wolność". Słowo to w psychice społeczeństwa polskiego ma wymowę szczególnie sugestywną, ma urok niepospolity, jest odczuwane w sposób głęboki. Do tradycji amnestii należy, że ogłaszano ją zawsze z okazji historycznych zdarzeń, wielkich uroczystości, pamiętnych rocznic. Ostatnie pogłoski łączy się z dwudziestoleciem niepodległości. Można więc snuć refleksje w jak olbrzymiej części społeczeństwa wieść o amnestii spotkała się z żywą reakcją.

W Polsce jest 75.000 więźniów. Niech każdy nich będzie członkiem rodziny, składającej się tylko z pięciu osób, będziemy mieli 375.000 ludzi, wśród których wiadomość o amnestii zapadła do głębi serc, gdzie notatka dziennikarska obudziła nadzieje wyjścia z murów więziennych tysięcy ludzi, których przestępstwa przedstawiają się często problematycznie.

Amnestia jest aktem przebaczenia. Jest umożliwieniem powrotu do społeczeństwa tym których los formalnie został przesądzony. To próba moralnych sił ludzi, skłóconych ze swoimi środowiskami, dowód wiary w samokrytycyzm i wartości intelektualne jednostek, pokonanych w walce o realizację sprzecznych dążeń socjalnych. Zdaje się, że nie ma innych argumentow. Może tylko jeden, gdy mowa o zdeklarowanych wrogach państwowości, przestępcach notorycznych, typach z pod ciemnej gwiazdy.

Powtarzające się co raz częściej w prasie alarmujące głosy o przepełnieniu więzień, o wzrastającej przestępczości i zamiarach rozbudowy zakładów karnych, rywalizują w swej doniosłości z propagandą budowy szkół i domów ludowych. Mimo woli nasuwa się pytanie: co ważniejsze? Jedno i drugie staje się zagadnieniem pilnym.

Nie ulega wątpliwości, że w dziedzinie rozbudowy szkolnictwa mamy wiele sukcesów. Na tym odcinku gospodarki zrobiliśmy duży krok naprzód. Ale jakież są rezultaty? Zamiast wzrostu oświaty, zamiast t. zw. rozwoju kulturalnego ludności, co powinno być moralną konsekwencją wysiłków nad dźwignięciem olbrzymiej części narodu z mroków analfabetyzmu, jesteśmy świadkami zjawiska zdumiewającego: mamy jecze więcej kryminalistów, niż dawniej.

Co robić? Rozumując prymitywnie, należałoby bębnić w propagandę za najszerszą akcją rozbudowy więzień. Łotrów, zbrodniarzy, złodziejaszków, rzezimieszków, komunizujących wywrotowców, wrogów istniejącego porządku, pesymistów, malkontentów i melancholików, włóczących się po świecie z posępnymi pyskami — zamykać! Niech nie „sieją" defetystycznych nastrojów. W każdej wsi, obok kościoła i domu ludowego budować kryminał. Każdy posterunek policji niech stosuje karę chłosty. Inaczej widocznie z tym ciemnym, głupim narodem postępować nie można. Niech biją! Już w dzieciństwie wszakże wielu z nas wpajano tę piękną filozoficzną zasadę do użytku domowego: lepiej bite niż zdechłe. I bili. Zresztą, tak mało przecież zmieniło się w życiu człowieka od czasów dzieciństwa: dawniej za złe sprawowanie pakowano do karceru i dziś za złe „sprawowanie" pakują do karceru... Mniej wnikliwszy facet nawet nie zupełnie zdaje sobie sprawę, kiedy przestał być dzieckiem.

W jednym z dzienników warszawskich, w artykule na temat reformy kodeksu karnego „powstałego li tylko z obserwacji naszego codziennego życia i zbyt liberalnego", czytamy takie zdanie: „Wydaje mi się rzeczą nielogiczną i wysoce niemoralną, by 75 tysięcy zbrodniarzy i przestępców żyło wygodnie w więzieniach, nie zaznawszy ani głodu, ani chłodu, ani trudu pracy codziennej, wówczas, gdy grubo więcej ponad 75 tysięcy uczciwych obywateli boryka się ze skrajną nędzą wskutek bezrobocia".

Piękna to charakterystyka, ale widać, że twórca jej nigdy nie zaznał opisywanego szczęścia, albo udaje, że nie zna bliżej naszych więzień, gdzie — owszem, bywa dość głodno, chłodno i... do domu daleko. Nie bardzo szczerze wygląda też załamywanie rąk tego publicysty nad losem 75 tysięcy obywateli, borykających się z nędzą. Ale trzeba przyznać bezstronnie, że intencja jego jest jasna i szlachetna. Wydawałoby mu się zapewne rzeczą logiczną i wysoce moralną, gdyby doli tych grubo ponad 75 tysięcy bezrobotnych użyć przez zapewnienie im przynajmniej „wygodnego życia w więzieniu". To robi się już od dawna. Już coraz więcej siedzi ich w więzieniach. Mówimy o tym dalej. Jesteśmy jednak cokolwiek innego zdania: uważamy raczej, że te pierwsze 75 tysięcy obywateli powinno rano, w południe i wieczorem dziękować Bogu za to, że te drugie 75 tysięcy obywateli siedzi w więzieniach...

Wyobraźmy sobie taką fantastyczną, zgoła nieprawdopodobną historię: Pewnego dnia otwierają się na rozcież bramy więzień i oto 75 tysięcy wypuszczonych na wolność głodomorów szturmuje do urzędów pośrednictwa pracy. Stan bezrobocia wzrasta katastrofalnie. Jakież będą możliwości uzyskania pracy przez tych, borykających się z nędzą „uczciwych obywateli"? Co najmniej o połowę mniejsze. Z tego wniosek okrutny, jednak logiczny: ujmując zagadnienie więziennictwa z punktu niekorzystnej sytuacji bezrobocia, — sprawę rozbudowy więzień należy uważać za inicjatywę piękną i pożyteczną. Słuszne też będzie twierdzenie, że nadmiernie przepełnione dziś więzienia spełniają rolę regulatora w dziedzinie naturalnego przyrostu ludności.

Musimy jasno zdać sobie sprawę, że nie mamy kolonii, gdzie moglibyśmy wysyłać naszych bezrobotnych. Polska jest krajem ubogim (tak jest: ubogim!). Wypłacanie wygórowanych zasiłków bezrobotnym rujnuje i bez tego nasze dziurawe budżety. Jedynym więc sposobem pozbycia się tego uciążliwego elementu może być kryminał. Korzyści tego systemu znane są ogólnie. Koszt utrzymania zamkniętego w więzieniu faceta wynosi zaledwie kilkanaście groszy. Trzeba więc przyznać, że trudno o tańszy sposób eliminacji pewnej części społeczeństwa ze środowiska ludzi pracujących, szanujących się i zarabiających często wcale ładne pieniądze. Chociaż wiadomo, że z pośród tych ostatnich także wielu trafia do kryminałów. Oto ten sam, wyżej cytowany dziennik, pisze ze zgrozą: „Czy to jest normalne, ażeby złodzieje kilkadziesiąt razy karani, mogli być finansistami, właścicielami majątków ziemskich i nieruchomości miejskich?" Rzeczywiście jest to nienormalne, ale jak dotąd — zawsze było naturalne.

„Nie zależy nam chyba na opinii wyrzutków społeczeństwa" — pisze publicysta wspomnianego dziennika, domagając się „bezkompromisowego postępowania z przestępcami, z pominięciem wszelkich uczuć humanitarnych, oraz zaostrzenia kodeksu karnego".

Hola panowie! Jakaś bliżej nieokreślona siła, może tak zwany nakaz wewnętrzny lub głos sumienia zmusza mnie do wystąpienia w obronie przestępców. Coś tutaj jest nie w porządku, w tej bezkompromisowej i antyhumanitarnej deklaracji. Powodem tego ma być obawa przed „opinią wyrzutków społeczeństwa". Doprawdy, smutna to opinia. Ale czy zależy nam bardziej, abyśmy w opinii kulturalniejszych od nas państw świata stali się narodem kryminalistów? A przecież to nam grozi nieuchronnie przy rozbudowie więzień.

Problem przestępczości jest odwieczny. Ale gdy mowa o kwalifikacji czynów przestępczych według kodeksu, będącego wyrocznią przed sądem nieostatecznym — tego laik nie obejmie swoim rozumem. Może tylko odczuwać wagę sprawiedliwości, jak odczuwa miarę krzywdy. Zastanówmy się jednak, jacy przestępcy przeładowali nasze więzienia. Nie wiem, ilu więźniów politycznych, a ilu pospolitych, ale to mniej ważne. Charakterystykę przestępcy, typowego dla naszych czasów rozpowszechnia się w formie ulotek i artykułów propagandowych „pomocy zimowej". Już przed nami znaleźli się ludzie wnikliwi, psycholodzy znakomici, którzy przestudiowali statystykę kryminalną i problem ten przemyśleli rzetelnie. Zrobili to, aby „trafić do serc ludzkich". Aby „targnąć sumieniem narodu".

Po gromach, rzucanych na przestępców, po groźbach torturowania, zaostrzania kodeksu i regulaminowo-antyhumanitarnego traktowania więźniów,— brzmi to jak prześliczny poemat, jak głos cichy, współczujący, wyrozumiały, ludzki. Nie chce się wierzyć, że mogło się to ukazać w gazetach jednocześnie z projektami antyhumanitarnej reformy kodeksu. A jednak ukazało się, wydrukowali.

Prosimy o chwilę uwagi:

„Jeżeli zapoznamy się ze sprawozdaniami naszej statystyki kryminalnej — czytamy w artykule „pomocy zimowej" — to rzuci się nam w oczy, że pod wpływem obecnych warunków powstał nowy typ kryminalistyczny. Typ człowieka dopuszczającego się występku na tle bezrobocia. Wielki wzrost występków przeciw cudzemu mieniu jest właśnie spowodowany ucieczką na drogę występku tysięcy ludzi, którzy w skrajnej rozpaczy, pozbawieni pracy i chleba wyciągają rękę po nieswoją własność. Ludzie ci nie są urodzonymi przestępcami. Przeważnie dotąd nie karani, wchodzą w kolizję z kodeksem w chwili ostatecznej depresji, w obliczu głodu i wycieńczenia najbliższych, w chwili załamania, spowodowanego tragicznym położeniem bez wyjścia. Czasem kradną, aby nędznym łupem skrócić choć by na chwilę mękę głodu, czasem po prostu dlatego, aby znaleźć się w więzieniu — tym ostatecznym azylu, w którym mają dach nad głową i łyżkę strawy. Gdy w chwili takiej depresji bezrobotny nie widzi innego wyjścia poza zamachem na ład społeczny, wystarczy wyciągnąć pomocną dłoń, aby na nowo poczuł ufność do społeczeństwa i znalazł siły do przetrwania".

Tyle. Wystarczy? Artykulik jest znacznie dłuższy i w każdym wierszu taki wzruszający. Ale skróciliśmy go. Przecież tu nie chodzi o wyciskanie łez, pomoc zimowa już nieaktualna, mamy wspaniałą wiosnę. Chodzi tylko o typ kryminalistyczny, któremu grozi się torturami, któremu zazdrości się szczęścia więziennego. W tej dziedzinie stanowczo powinno nastąpić jakieś bliższe porozumienie między ministrami Grabowskim i Kościałkowskim.

Weźmy teraz inny przykład z rodzaju typowych: Przed sądem przysięgłych we Lwowie odbywał się niedawno proces dziewiętnastu komunistów, z których większość po kilka i kilkanaście miesięcy trzymano w więzieniu. Przyszedł dzień rozprawy. Przewodniczący ławy przysięgłych odczytał werdykt. Na pytania czy oskarżeni są winni, powtarzały się słowa: jedenaście głosów — nie, jeden — tak; dwanaście głosów — n i e; jedenaście głosów — n i e, jeden — tak; dwanaście głosów — n i e; dwanaście głosów — n i e; dwanaście głosów — n i e... Zdaje się, że tylko dwa razy padły słowa: sześć głosów — nie, sześć — tak; i jeden raz: siedem głosów — tak, pięć — nie. W rezultacie czterech oskarżonych skazano, a p i ę t n a s t u uniewinniono. Powtarzam: siedzieli po kilka i kilkanaście miesięcy. Wypuszczono ich z piętnem zdrajców ojczyzny, komunistów i kryminalistów. Czy i tym należy zazdrościć, że tak długo i aż tylu ich „żyło wygodnie" w więzieniach?

Podobno nikt nie jest bez grzechu. Albowiem już Chrystus powiedział: a kto z was bez grzechu, niech pierwszy na nią — i tak dalej. Pewien znakomity prokurator dowodził, że jeżeli nie wszyscy ludzie siedzą w kryminałach, to tylko dlatego, że nie wszystkimi mieli sposobność zainteresować się prokuratorzy. Wiadomo jednak, że i prokuratorzy nie są bez grzechów, o nich jednak bezpieczniej nie mówić... Bez ryzyka natomiast można przypomnieć Goethego, który nie omylił się chyba, twierdząc, że w każdym człowieku potencjalnie tkwi zbrodniarz. Może to zresztą nie Goethe powiedział, ale zdaje się że Goethe. Refleksje na ten temat nigdy nie były optymistyczne, począwszy od Chrystusa aż do zwyczajnych prokuratorów.

Gdyby wierzący katolicy nie spowiadali się po cichu przed konfesjonałami, licząc na to, że dopiero kiedyś, w bardzo dalekiej przyszłości, będą odpowiadać za swoje grzechy na sądzie boskim, ale swoje zeznania składali w urzędzie śledczym, gdzieby ich wzięto w krzyżowy ogień pytań i wszystko szczegółowo zaprotokółowano, a potem skierowano sprawy do prokuratorów — mocny Boże! — chyba wszystkie okna na świecie należałoby zakratować...

Rola wychowawcza więzienia i kary chłosty już dawno budziła wątpliwości. Czytałem właśnie Andre Mau-

rois'a „Życie Voltaire'a". Ten genialny cynik przeszedł, jako wiadomo, dobrą szkołę. Jego niesamowita złośliwość, miała źródło w szeregu smutnych przygód.

Voltaire przeżywał swoją epokę nie tylko jako wnikliwy obserwator. Odczuł ją na własnej skórze. Zaczęło się od tego, że Filip d'Orleans zamknął go na rok w Bastylii. Była to kara za kilka złośliwych wierszy. „Nic dziwnego — pisze Maurois — że w umyśle tak żywego i nagle zamkniętego w czterech ścianach młodzieńca kara ta wznieciła dość silne namiętności i pożyteczne refleksje co do form sprawiedliwości". Później Filip Orleański „uczynił mu tę łaskę, że skazał go na wygnanie". Później — było to u księcia Sully — kawaler de Rohan-Chabot kazał go obić laskami. „Siedział w karecie, przypatrywał się tej operacji i rzekł: „Nie bijcie go w głowę, gdyż może z niej wyjść coś dobrego". Obecny przy tym tłum krzyczał: „Ach, co za dobry pan!"

Maurois robi przy tym taką uwagę: „Stała się rzecz przykra, ale zgodna z porządkiem świata (oczywiście, ówczesnego). Sprawa ta zasługuje na uwagę, gdyż sprawiła, że Voltaire stał się zdecydowanym opozycjonistą. Zawdzięcza jej niewątpliwie w pewnej mierze swój geniusz. Odtąd posiadał namiętności".

Ta wzruszająca historia wolterowska przypomina wiele podobnych wypadków u nas w ostatnich latach. Tylko z tą różnicą, że u nas nie ma Bastylii. I takich dżentelmenów, jak ów kawaler de Rohan-Chabot, który przeczuwając wielkość Voltaire'a, nie kazał go bić w głowę. Dlatego też prawdopodobnie mamy wśród pisarzy znacznie więcej opozycjonistów, niż Francja po śmierci Ludwika XIV(!). Ale i z tego należy wysnuć wniosek logiczny i pożyteczny: więzienie, bicie, prześladowania tworzą wielkich, nieprzejednanych opozycjonistów, nawet tak wielkich i tak nieprzejednanych, jak Voltaire.

Wróćmy jednak do tytułu naszego artykułu: do więźniów, którzy wyrokami sądów będą „skazani" na wolność. Uwagi na ten temat należałoby zacząć od gloryfikacji sądów. W opinii tzw. szerokich mas nic chyba tak bardzo nie wzmacnia wiary w sądownictwo, jak wyroki uniewinniające. Tam, gdzie prokurator rzuca gromy na oskarżonego, a w wyroku szala sprawiedliwości przechyla się na korzyść sądzonego, uniewinniający wyrok sądu jest aktem, przyjmowanym przez społeczeństwo zawsze z uczuciem ulgi i pewnej wdzięczności. Stosunek przeciętnego obywatela do więźniów jest bowiem raczej wyrozumiały, współczujący, a nawet przyjacielski. Dowodem: zrewoltowany tłum przede wszystkim szturmujący do więzień. Ale trzeba to powiedzieć otwarcie, bez zamiaru krytykowania kogokolwiek, że opróżnianie naszych przeludnionych więzień za pomocą wyroków uniewinniających budzi w społeczeństwie uczucia rozgoryczenia. Coś tutaj nie jest w porządku. Odnosi się wrażenie, że więzienia są zbyt gorliwie przeładowywane. że wiele tysięcy ludzi siedzi tam niepotrzebnie, oczekując wyroków uniewinniających.

Nie trzeba być psychologiem, aby zrozumieć człowieka, wypuszczonego z więzienia, gdzie niewinnie przebył kilka, czy kilkanaście miesięcy. Taki nie prędko przychodzi do równowagi duchowej. Piętno przestępstwa, prześladująca go psychoza winy, głębokie poczucie krzywdy, rozrastające się na podłożu depresji moralnej, czynią go podobnym do jakiegoś ponurego Raskolnikowa z Dostojewskiego „Zbrodni i kary". Tylko, że cierpi za winy niepopełnione. Gorzej jednak, gdy to poczucie krzywdy przejawia się w formie buntu, jak u wszystkich większych i mniejszych Voltaire'ów. O tych można powiedzieć, że wyrokami sądów zostają s k a z a n i na wolność, która bywa o stokroć cięższa do zniesienia, niż więzienie.

W końcu uwaga o amnestii: społeczeństwo ludzi wolnych i sytych nie powinno się mścić na pariasach. wtrąconych do więzień. Nie myślimy tu o zbrodniarzach, typach zdegenerowanych, co do których nie ma nadziei, że staną się ludźmi. Ale dla innych bramy więzień powinny być otwarte szeroko — na wolność, gdzie wspaniale rozpoczynająca się wiosna ułatwi im znalezienie pracy.

Dla nich rocznica niepodległości będzie miała znaczenie szczególnie głębokie.

—o—

Czy zmieniać ordynację wyborczą dla miast?

Sprawozdanie z posiedzenia Klubu Dyskusyjnego przy Zarządzie Okręgu Związku Legionistów Polskich we Lwowie, w dniu 19 marca 1938 r.

VI. wieczór Klubu Dyskusyjnego poświęcony był sprawie projektu nowej ordynacji wyborczej dla 6 największych miast (w tym i miasta Lwowa), wniesionego przez Rząd do Sejmu.

Ze względu na doniosłość sprawy dla mieszkańców naszego miasta posiedzenie Klubu odbyło się w sali ratuszowej, przy czym zaproszono m. in. wszystkich radnych miasta Lwowa. Niestety udział Radnych był nader nikły; widocznie ten temat nie interesował ich zbytnio. Prezydium miasta natomiast uczestniczyło w zebraniu razem z Prezydentem Ostrowskim, który biorąc udział w dyskusji wygłosił b. interesujące i wnikliwe uwagi.

Posiedzenie zagaił prezes Klubu dr Tadeusz Dwernicki, zwracając w krótkich słowach uwagę na aktualność i wagę poruszonego tematu, poczem poprosił prelegenta prof. Tadeusza Bigo o wygłoszenie referatu.

Referent, prof. Bigo ujął sprawę bardzo dokładnie, naświetlając b. wszechstronnie całe zagadnienie. Nie mogąc dla braku miejsca podać całego referatu, musimy ograniczyć się do następującego streszczenia:

W r. 1933 nowa ustawa samorządowa wprowadziła jednolitą dla wszystkich miast w całym państwie ordynację wyborczą, mianowicie najbardziej nowoczesny system pięcioprzymiotnikowych wyborów z głosowaniem na listy związane. Rzecz dziwna, że tenże sam Sejm uchwalając w r. 1935 sejmową ordynację wyborczą zrezygnował z tego „superdemokratycznego" wynalazku. Nie możemy tu wdawać się w dociekania, jakie były motywy takiego stanowiska Izb Ustawodawczych w r. 1935; niech nam będzie jednak wolno domniemywać się, że między innymi powodami nie bez znaczenia była ujemna ocena rezultatów praktycznego zastosowania ordynacji miejskiej z 1933 r. Obecnie w r. 1938 dostarczył nam Rząd znowu dokumentu, w którym bardzo krytycznie ustosunkowuje się do tego systemu. Mianowicie w przedłożeniu rządowym w sprawie ordynacji wyborczej dla 6 miast największych, projektodawcy uzasadniają konieczność zmiany dzisiejszej ordynacji niezadawalającymi rezultatami. Jest to niedwuznaczna dezaprobata dotychczasowego systemu wyborczego. Zdawałoby się zatem, że w konsekwencji Rząd proponuje zerwanie z zasadami obecnego prawa wyborczego. Tymczasem nic podobnego. Projekt nowej ordynacji zatrzymuje pięcioprzymiotnikowe głosowanie na listy związane i równocześnie wprowadza tytułem jego korektury — dopełniające wybory przedstawicieli poszczególnych grup gospodarczych i zawodowych. Powstaje w ten sposób system, bezsprzecznie oryginalny, system kombinowany, jakieś „mixtum compositum", który spotkał się z krytyk i sprzeciwami z różnych stron i doczekał się już uchwały komisji sejmowej, przesądzającej jego losy do pewnego stopnia w sensie negatywnym.

Nie będziemy się martwili, jeśli ta uchwała okaże się ciosem śmiertelnym dla inicjatywy rządowej; lepiej bowiem pozostać przy starej ustawie choćby niedoskonałej, aniżeli obdarzyć naród nową, ale gorszą. A reforma projektowana oznacza zmianę na gorsze.

Jeśliby uznać zmianę dzisiejszej ordynacji za konieczność, jak to zdaje się Rząd uważa, to przede wszystkim należałoby doradzać zerwanie z dzisiejszym głosowaniem na listy związane. Idea ta jest bowiem wytworem, pewnego specyficznego światopoglądu politycznego i została pomyślana jako idealny system wyborów politycznych. Dlatego w wyborach parlamentarnych może on mieć do pewnego stopnia swoje uzasadnienie, ale nie w samorządzie. Obywatel, oddając głos na pewną listę w wyborach parlamentarnych, optuje za pewnym programem politycznym, wyraża on raczej swą wolę, że to a nie inne stronnictwo winno objąć rządy w kraju; na drugi plan przesuwa się przy tym systemie głosowania kwestia personalna t. j. stosunek obywatela do osoby kandydata. Można ten system krytykować, ale można też uzasadniać jego racjonalność ze stanowiska pewnej ideologii. Natomiast zgoła inny jest sens wyborów samorządowych i tu trudnoby było uzasadnić celowość takiego systemu głosowania. Samorząd jest administracją spraw gospodarczych, a nie — przedstawicielem politycznym. Dlatego wyborca ma tu rozstrzygnąć poprostu kwestię, komu oddać zarząd spraw lokalnych. Musi dokonać wyboru pod kątem lokalnych zagadnień administracyjnych; tu nie zachodzi potrzeba ustosunkowania się do zagadnień politycznych w skali państwowej. Aby wykonać swój obowiązek obywatelski, wyborca nie musi sięgać po okulary ideologiczne partii, które są organizowane pod kątem zagadnień ogólno państwowej polityki. Pośrednictwo partii w wyborach samorządowych jest zbędne i wręcz szkodliwe. Ordynacja wyborcza będzie wtedy dobra, jeśli pozwoli wyborcy ustosunkować się bezpośrednio do lokalnych zagadnień administracyjnych i do osób kandydatów. System głosowania na listy

Działacz chłopski o stosunku wsi do OZN, o kwestii ukraińskiej i o Żydach

Poniżej zamieszczamy godne uwagi wyjątki z przemówienia jednego z działaczy chłopskich, członka Rady Okręgowej OZN we Lwowie.

...Sprawa pozyskania chłopów do OZN jest dość trudna w dzisiejszej sytuacji politycznej. Nie jest jeszcze w całej pełni uznawane znaczenie i stanowisko chłopa w życiu politycznym, chłop jest nadal w złym położeniu gospodarczym, nie ma nawet tych praw i wolności, jakie mają w Polsce mniejszości narodowe. Jeżeli OZN otoczy wieś należytą opieką, jeśli zorganizuje wieś gospodarczo i podniesie jej stopę życiową, jeśli chłop otrzyma należne mu prawa polityczne, a dziecko chłopskie możność kształcenia się, — to chłopi przystąpią do OZN tak szybko i tak tłumnie, jak nikt nawet nie spodziewałby się.

...Myśląc o sprawie ukraińskiej odnoszę wrażenie, że jest to państwo w państwie. Ogół społeczeństwa nie orientuje się, jak sprawa ta jest poważna, ludzie naogół nie wiedzą zupełnie, jak ona wygląda u nas. u tzw. dołów. Ukraińcy są zorganizowani, bojowi. Dla swoich rozgrywek politycznych nie cofają się nawet przed wykorzystaniem ambon kościelnych. Zdaje się, że Warszawa nie uważa nas za jedną całość z resztą kraju, za całkowicie przynależnych do Polski. Słyszałem, że jest już dane pozwolenie na demonstracyjny zjazd ukraińskich. Podobno Lwów ma być ze wszystkich stron otoczony i następnie symbolicznie objęty w posiadanie. My tego nie możemy zrozumieć, nie może się nam poprostu w głowie pomieścić, jak można na taką rzecz pozwolić. Niech ktoś nie myśli, że my na nich chcemy iść z nożami, nic podobnego, ale my żądamy i mamy prawo żądać od nich, by byli lojalni. A czy tak jest? Od małego dziecka wychowywani są w duchu ukraińskim, wrogim do wszystkiego co polskie i nie wiemy dlaczego stolica pozwala na to, byśmy musieli teraz w własnym państwie walczyć o państwo.

...Ja myślę coraz częściej, czy będę mógł tu pozostać, bo my wszyscy przecież nie wiemy, co nas na tej ziemi czeka i czy nie lepiej zostawić wszystko i opuścić tę dzielnicę, chociaż jest ona nasza.

...Powiedzenie, że Hitler zagarnął Austrię nie jest ścisłe. Właściwie to Austrię zabraliśmy do spółki z Hitlerem: Niemcy wzięli Austrię, a Polska Żydów austriackich. W tym dowcipie jest dużo prawdy, bo nawet do tak małej wsi, jak ta, gdzie mieszkam, wpłynęło 14 podań o uzyskanie obywatelstwa dla Żydów, znajdujących się w Austrii, a którzy oczywiście chcieliby wrócić, czy też wogóle przyjechać do Polski...

...Dla wsi Żydzi jednak nie są groźni, Ja, będąc wójtem, potrafiłem w przeciągu kilku lat pozbyć się kilkunastu rodzin żydowskich. Wieś ta jest teraz zupełnie wolna od Żydów.

—o—

Ibsenowski problem

(wlś) Usiłowania publicystyczne w kierunku rozstrzygnięcia problemu młodzieżowego, podobnie jak niefortunne próby ogólnikowego definiowania przejawiających się wartości młodego elementu, cechuje niezmienna bezcelowość.

Trud ustalania, szeregowania i grupowania zjawisk, charakterystycznych dla przenikającej w krąg życia społecznego młodzieży jest niewątpliwie pasjonujący, ale najmniej istotny, jeżeli całokształt tego zagadnienia traktowany jest w sposób właściwy zmanierowanym teoretykom, jako temat samoistny, wyrwany z gruntu rzeczywistości i przedstawiony w formie obłędnego, pozornie bezprzyczynowego chaosu.

Problem ten wygląda najzupełniej inaczej, zyskuje na uchwytności, nabiera właściwej wagi i kształtów realnych, umożliwia orientację, gdy młodzież w ogóle, a szczególnie wojującą część młodzieży politycznej będziemy traktować jako kontynuację środowiska.

Różnorodność przejawów ruchu młodzieżowego będziemy mogli wówczas sklasyfikować według znanych norm społecznych i politycznych, rozgraniczymy poszczególne ugrupowania według ich sztandarowych haseł, a tym samym ustalimy łączność ideową i wspólność bodźców działania ustępującego i następującego pokolenia.

Problem młodzieżowy tkwi w każdym, jest nieuchronnym przeżyciem, chociaż nie wszystkim jednakowo bliski, gdyż nie wszyscy przeżywają go z jednakową pasją. Faktem jest jednak, że to wszystko, co występuje pod nazwą zagadnienia młodzieżowego o wiele bardziej bezpośrednio, żywiej, intensywniej nurtuje w środowiskach młodzieżowych, przejawiającc się często w formie konfliktów psychicznych.

Każdy, zanim stanie na progu życia, ma mniej lub więcej wykrystalizowany światopogląd; we właściwym czasie przechodzi swoje „niebo w płomieniach", wyzbywa się złudzeń dzieciństwa, wchodzi w krąg walk socjalnych, znajduje przywódców ideowych.

Dobrze, gdy likwidacja problemu młodzieżowego następuje wśród samej młodzieży pod wpływem zaspokojonych pragnień, osiągniętych dążeń. Gorzej, gdy z okresu buntowniczych nastrojów wychodzi się z bagażem rozczarowań, gdy własny nierozwiązany problem stanowienia o swojej przyszłości składa się bezsilnie w ręce starszego społeczeństwa.

Taka młodość jest głęboko tragiczna, staje się zjawiskiem niepokojącym, nie wnosi oczekiwanych wartości.

Rzadko jednak jest to rezygnacją z ideałów młodości. Przeciwnie. Zjawisko to rozrasta się do rozmiarów ogólnospołecznego zagadnienia, przejawia się w formie fermentów politycznych, wysuwa się na czoło spraw pozornie istotniejszych.

Niemożność uzyskania udziału w zbiorowej pracy społeczeństwa za cenę studiów i entuzjazmu przeistacza się w bezpośrednie dążenie do przeobrażeń socjalnych. Inna rzecz, czy dążenia te przejawiają się w sposób właściwy, czy w zasadzie elementarna walka o zdobycie warsztatów pracy zgodna jest z rozbrzmiewającym jednocześnie akompaniamentem haseł ideowych — to kwestia siły oddziaływania środowiska lub głosu sumienia społecznego.

Pewne, że przekonania socjalne, kształtujące się jako reakcja na zastaną rzeczywistość w okresie wczesnej młodości mają w sobie coś z procesu samorodnie budującego się talentu i wcześniej lub później muszą być wypowiedziane. Stąd chaos, dezorientacja w poszukiwaniu nowych dróg, form, kierunków — zjawisko jednakowo charakterystyczne dla młodego ruchu społecznego, politycznego i artystycznego.

Problem młodzieżowy nie jest wytworem naszych czasów, ani naszych publicystów. Posiada on bogatą literaturę, zawsze bowiem budził ciekawość nawet największych pisarzy i utrwalony został na kartach niejednego arcydzieła. Wystarczy dokonać wyboru bodaj jednego z tych dzieł literackich, gdzie przemyślany został gruntownie i przedstawiony z sugestywną plastyką w żywej akcji dramatu, aby nie mieć złudzeń, że wyjątkowo my, w naszym wieku, jesteśmy świadkami zdarzeń niebywałych.

Może nie będzie to wybór zbyt trafny, gdyż nie obejmuje zagadnienia wszechstronnie, ale jako typowy dla odwiecznego konfliktu między dwoma walczącymi o byt generacjami nasuwa się z nieodpartą siłą przy rozważaniach młodzieżowych.

Kto nie pamięta tej słynnej ibsenowskiej sceny?

Nieśmiertelny budowniczy Solness, któremu „szczęście było wiernym druhem" u schyłku życia, gdy był już „pierwszym w swoim zawodzie" nagle załamuje się psychicznie pod wpływem rozmyślań o zbliżającej się młodzieży.

— Od rana do nocy dręczy mnie niepokój — powiada — bo raz przecież musi nastąpić przewrót.

A gdy zdumiony przyjaciel, dr Herdal, zapytuje go:

— Co znowu! Kto sprowadzi przewrót?

Solness odpowiada z mocą:

— Młodzież! Zbliża się przewrót. Przeczuwam go. A z każdym dniem jest bliższy. Znajdzie się jeden, co zawrzaśnie: Z drogi mi! A za nim wali czerń z wołaniem i groźbami: P r e c z! Miejsce zrobić! Uważaj doktorze... Pewnej godziny zjawi się tutaj młodzież i zapuka do drzwi...

Herdal: — Cóż z tego?

Solness: — Co z tego? Wówczas możecie mi zaśpiewać: wieczne odpoczywanie...

Trudno zaprzeczyć, że ten jeden fragment, jeden strzęp ibsenowskiego dramatu, mówi więcej, niż niejedna rozprawa i artykuł dyskusyjny na tematy młodzieżowe.

Ibsenowski problem młodzieżowy wysunął się dziś na czoło naszych zagadnień społecznych: jest tragiczny, ale zrozumiały. Tym łatwiej więc powinien być rozwiązany.

Po Żydach kolej na chłopów

Czas skończyć z warcholstwem rozwydrzonej młodzieży!

Pobłażanie bandyckim wybrykom młodzieży daje już smutne rezultaty. Nie ma dnia, żeby prasa codzienna nie doniosła o napadach młodzieży na przeciwników politycznych. Po Żydach przyszła kolej na chłopów. „Akcję" tę rozpoczęli lwowscy „bohaterowie" z pod znaku mieczyka w powijakach, bijąc chłopów zgromadzonych przed teatrem w dniu 11 listopada ub. r. Obecnie notujemy dwa dalsze wypadki pobicia młodzieży chłopskiej, w jednym wypadku przez młodzież „narodową" (?), w drugim przez bojówki ze Związku Młodej Polski.

Cytujemy za „Wiciami" (nr 13):

„Zarząd Główny Wielkopolskiego Związku Młodzieży Wiejskiej zwołał w dniu 20 marca b. r. Zebranie członków Kół Młodzieży Wiejskiej i zaproszonych gości ze Stronnictwa Ludowego z powiatu czarnowskiego. Zebranie było zapowiedziane n godz. 14 w Stajkowie w pow. Czarnków.

...Krótko po godz. 14 na salę pchać się zaczęli obcy osobnicy — całą zorganizowaną bandą z mieczykami w klapach. ...Jeden z nich uderzył wężem gumowym ze śrubą żelazną porządkowego Andrzejewskiego. Poczem całą grupą w liczbie 70 bojówkarzy wpadli na salę — zajmując miejsca pod ścianami... Prezydium zebrania... widząc prowokację, a nie chcąc dopuścić do bójki postanawia... opuścić salę i przenieść się z zebranymi związkowcami do prywatnego domu. Kol. Prezes Wojkiewicz komunikuje o tym zgromadzonym...

...W tym momencie rozległy się na sali wycia zbirów z mieczykami i okrzyki... Kilku z nich doskoczyło do Prezydium z żelaznymi krzesłami i wojskowymi bagnetami. Zrobiło się zamieszanie. Bojówkarze powyciągali noże, bagnety, stalowe boksery, węże gumowe, łomy, rewolwery i pałki...

...Podczas tych „bohaterskich" wyczynów narodowcowych wznoszono oczywiście okrzyki „Niech żyje Dmowski. Niech żyje Stronnictwo Narodowe". Wreszcie zadowoleni — z dobrze spełnionej misji narodowcowej odśpiewali swój hymn młodych i odjechali..."

*

Podobny wypadek pobicia, tym razem akademickiej młodzieży chłopskiej przez bojówki Związku Młodej Polski, miał miejsce w Warszawie w dniu 16 marca b. r. Pisze o tym obszernie Prezes Centralnego Związku Młodej Wsi p. Stanisław Gierat w nrze 13 „Siewu Młodej Wsi", skąd przytaczamy tylko nast. wyjątek:

„Bojówka ta, czyniąc nawet użytek z broni palnej, powybijała szyby, demolowała schody, prowadzące do biura Związku Młodej Wsi, a nadto pobiła i poraniła akademików naszych broniących dostępu do lokalu. Barbarzyńcom nie udało się wedrzeć do biura związkowego i zniszczyć jego urządzeń, dzięki postawie naszych akademików."

Komentarza nie zamieszczamy. — Fakty te przemawiają mocniej niż jakikolwiek komentarz. Apelujemy tylko do czynników miarodajnych o poważne zastanowienie się, do czego ta akcja doprowadzić może.

—o—

związane zmusza zaś wyborcę do patrzenia na zagadnienia lokalne przez pryzmat programów politycznych i nie pozwala mu na swobodny wybór osoby kandydata. Dlatego nie przekreślając zresztą samej zasady proporcjonalności, należy przede wszystkim w tym punkcie poprawić ordynację wyborczą.

Inowacja zaprojektowana przez Rząd polega na tym, że wznawia się kurie, bo niektóre kategorie wyborców, oprócz udziału w głosowaniu powszechnym, mają jeszcze prawo wybierania radnych w swych organizacjach gospodarczych i zawodowych: w radzie miejskiej mają zatem zasiadać obok radnych, pochodzących z powszechnych wyborów — radni, reprezentujący interesy grupowe. Można przytoczyć dużo różnych argumentów przeciw tej koncepcji. Najważniejszy jest ten, że ona podważa zasadę powszechności wyborów i prowadzi w konsekwencji do absurdalności pluralizmu. Tymczasem zasada powszechnych wyborów w samorządzie terytorialnym jest dogmatem, którego bliżej uzasadniać nie trzeba. Samorząd terytorialny jest samorządem powszechnym, to znaczy — obejmuje wszystkich mieszkańców pewnego obszaru, (samorząd gospodarczy i zawodowy przeciwnie, obejmują tylko pewne kategorie — dlatego też, jeśli samorząd teryt. ma pozostać prawdziwym samorządem i zachować organizację korporacyjną, — powoływanie rad musi należeć do wszystkich mieszkańców.

Po wtóre, samorząd miejski jako powszechny ma własne zadania do spełnienia, zadania dotyczące ogólnych interesów lokalnych oraz ogółu mieszkańców; dlatego nie jest zadaniem rad miejskich czuwać nad specjalnymi interesami pewnych grup gospodarczych i zawodowych; do tego celu są powołane właśnie organizacje publiczno-prawne tych grup (izby itp). Jeśli projektodawcy twierdzą, że przy dzisiejszym systemie radni „nie zawsze reprezentują interesy tych grup, gdyż nie przez nie zostali wybrani, to mamy do czynienia z poważnym nieporozumieniem na temat istoty i zadań samorządu terytorialnego. Dublowanie przez samorząd terytorialny roli samorządu gospodarczego i zawodowego — nie jest jego zadaniem; co więcej jest jego degradacją.

W końcu, słusznie zwraca się uwagę i na to, że jeśliby nawet ktoś był zwolennikiem idei oparcia ustroju samorządu terytorialnego na podbudowie korporacyjnej, to musi przyznać, iż racjonalna jej realizacja możliwą będzie dopiero wtedy, gdy wszystkie kategorie zawodowe i gospodarcze będą objęte ustrojem korporacyjnym; dziś gdy tylko niektóre z nich są zorganizowane, system projektowany prowadziłby do niesprawiedliwych zniekształceń samorządu powszechnego.

Projektodawcy — proponując system kurii zawodowych i gospodarczych kierowali się ideą reprezentacji interesów grupowych i dlatego przeciw projektowi protestujemy. Nie znaczy to jednak, jakoby system wyborów powszechnych był doskonałością i nie wymagał żadnej korektury. Owszem, zdaniem moim, wymaga korektury w jednym kierunku, aby zapewnić dobór ludzi kompetentnych, t. zn. reprezentujących znawstwo w zakresie spraw gospodarczych i kulturalnych. Ale droga do tego celu nie prowadzi przez odmładzanie starych, dawno do lamusa złożonych — systemów kurialnych.

*

Ze względu na wspomniany już brak miejsca — przebieg bardzo interesującej dyskusji odkładamy do następnego numeru.

SPRAWY KULTURY

JESZCZE O PIERWSZEJ BRYGADZIE

Żołnierska pieśń „My pierwsza Brygada", nazwana przez Wielkiego Marszałka „najdumniejszą pieśnią" Polski, nie mało krwi napsuła już przeróżnym dziennikarzom i pisarzom. Wertowali ją przyjaciele, sympatycy i wrogowie, nicowano ją ze wszech stron. Szukano autorów i kompozytorów. A przyznawało się ich do tej skromnej pieśni aż kilku. „Leguny piszcie swą historię" bo fałszują, jak mówił Komendant na zjeździe w Kaliszu...

Fałszują więc historię nie tylko zawodowi fałszerze, lecz fałszują ją również i ci, którzy niepamięcią swą mimowoli przyczyniają się do tego, podając nieścisłe dane, mające uchodzić za autentyczne. Sam czytałem niejednokrotnie jak przeróżni autorzy, pisząc o walkach pierwszej Brygady prawie że zawsze podają, że w danym czasie orkiestra grała, względnie legioniści śpiewali „My pierwsza Brygada". Uśmiechałem się w tym wypadku i wydawało mi się dziwnem — że ja, który prawie z frontu nie wyłaziłem, jakoś nigdy ani tej melodii, ani słów nie słyszałem, w czasie od sierpnia 1914 do września 1917 r. Ciągle prześladowała mnie myśl przezwyciężenia wrodzonego lenistwa do pióra, by opowiedzieć komilitonom-legunom, jak właściwie rzecz się przedstawiała w rzeczywistości. Dopiero interesujący artykuł mgr. Lewickiego w naszym leguńskim piśmie „Wola i Czyn" dodał mi bodźca, dzięki któremu „popełniam" niniejszy artykuł.

Tak się złożyło, że od chwili wyjazdu ze Lwowa z lwowskim Związkiem strzeleckim w sierpniu 1914 zacząłem notatki prowadzić, oraz zapisywać prawie że wszystkie pieśni i piosenki usłyszane, a jest ich niemało, bo 136. Od najwznioślejszych do najbardziej niecenzuralnych, od „Bogurodzica" do najfrywolniejszych piosenek obozowych...

I kiedy czytając artykuły, polemiki, listy otwarte w sprawie pieśni „My pierwsza Brygada" zacząłem skrzętnie szukać w swoich notatkach prasłowa owej pieśni, lecz niestety — nie znalazłem jej. Znalazłem natomiast słowa pieśni, która była właśnie ową ulubioną pieśnią całego ówczesnego wojska Pierwszej Brygady legionów Piłsudskiego. Pieśń owa nosiła tytuł „Legiony to są Termopile"...

Cofam się wspomnieniami o 23 lata wstecz. Kiedy oddział strzelców Józefa Piłsudskiego poraz drugi 19. VIII 1914 wszedł do Kielc, oddał się do dyspozycji komisarza Wojsk Polskich, kapelmistrz kieleckiej straży pożarnej wraz z kilkunastoma grajkami, no i oczywiście został przyjęty z otwartymi ramionami, gdyż dotąd reprezentacyjna orkiestra strzelecką były dwie dwurzędówki (harmonie), na których nieśmiertelne „Husia-siusia" wygrywali dwaj obywatele kompanii lwowskiej. I już w niedługim czasie, choć głodno i chłodno, maszerowaliśmy przy dźwiękach kieleckiej orkiestry, ubranej już w maciejówki i bluzy strzeleckie. Egzotyczna dla nas galileuszy orkiestra, grająca nieznane nam rosyjskie melodie, bo niestety innych grać nie umiała — w szybkim czasie zdobyła sobie prawo obywatelstwa. Szczególnie jeden marsz, bardzo często grany, którego smętna melodia przemawiała do serc młodych a sentymentalnych żołnierzy, stał się ulubionym marszem żołnierzy pułku a potem Brygady Piłsudskiego. Przy dźwiękach tego marszu weszliśmy w dniu 13 grudnia 1914 r. do Nowego Sącza, przy dźwiękach tego marsza weszliśmy potem do Kęt, wyjechaliśmy z Bielska nad Nidę, maszerowaliśmy przez Jędrzejów. A potem, podczas ofenzywy od Nidy poprzez lubelskie, Chełmszczyznę, Podlasie, Polesie, Wołyń wiernie i trwale towarzyszył nam ów kochany marsz kielecki. I pamiętam również i ten moment, kiedy cała brygada łącznie z artylerią i kawalerią naszą po przejściu Bugu 20 sierpnia 1915 r. biwakowała na olbrzymiej łące, orkiestra zaczęła swój popis. A kiedy z kolei zaczęła grać ów marsz kielecki, nieznany mi legun wyciągnął z kieszeni zatłuszczony, pokaźny notes, i zaczął z swoimi sitwesami śpiewać w takt owej melodii własny utwór *), który się zaczynał od słów „Legiony to są Termopile". Bractwo legionowe przyjęło oklaskami pierwsze słowa do ulubionego marsza i zaczęło je masowo przepisywać.

Wprawdzie znalazł się w szybkim czasie jakiś konkurencyjny a zgorżkniały poeta, który na tle tej samej melodii napisał słowa, które zaczynały się od słów „Legiony to żebracza nuta", bractwo zbytnio tym się nie przejęło — śpiewając jedne jak i drugie słowa przy każdej okazji. I to właśnie była ta ulubiona pieśń Pierwszej brygady Józefa Piłsudskiego.

*) Autorem tej pieśni jest Edward Słoński — przyp. red.

Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że „Marsz kielecki" „Legiony to są Termopile" to pierwowzór melodii i słów do, od 1917 r. śpiewanej pieśni, „My pierwsza Brygada". Gdy chodzi o melodię odsyłam tych, którzy chcieliby usłyszeć właściwą pieśń bojową z czasów walk I Brygady... na film pt. „Dziewczęta z Nowolipek". Kiedy na ekranie odbywa się mobilizacja i wymarsz oddziałów rosyjskich z Warszawy i widać wyłącznie sylwetki maszerujących oddziałów rosyjskich, niewidzialna orkiestra gra w tym czasie... ni mniej ni więcej jak właśnie ulubiony kielecki marsz I Brygady (tak!).

Więcej jest legionistów, którym ten marsz dobrze się wbił w pamięć, czego dowodem jest następujący fakt; kiedy w roku 1921 Marszałek Józef Piłsudski otworzył pierwsze Targi Wschodnie, znalazł się ktoś, kto chciał swemu Komendantowi zrobić przyjemność i kazał przygotować orkiestrze po odegraniu Hymnu państwowego ów „Marsz kielecki", który orkiestra grała przez cały czas pobytu Marszałka na placu Targów. Naczelnik Państwa z zadowoleniem słuchał zatrzymując się przez dłuższy moment na miejscu, a my leguni tam obecni byliśmy wzruszeni. Ogarnęły nas wspomnienia...

A jeśli więc chodzi o tak związaną z legionami pieśń „My pierwsza Brygada" pozwalam sobie stwierdzić, że pierwszy raz usłyszałem słowa i melodię „My pierwsza Brygada" dopiero na włoskim froncie w maju 1918, będąc żołnierzem w c. k. Grupie „P" VIII. w Attemis; ani chwili wcześniej...

Powyższe dane, oparte na notatkach, wspomnieniach, oraz na rozmowach z kolegami, świadczą niezawodnie, że pieśń „My pierwsza Brygada" w okresie walk legionowych znaną nie była.

K. ZIARSKI

*

Apel do członków b. zespołu orkiestry I pp. I Brygady Legionów. Nawiązując do publikowanych artykułów o dziejach Pieśni I. Brygady (artykuły pp. Lewickiego i Ziarskiego) prosimy wszystkich byłych członków słynnej orkiestry 1 pułku piechoty I. Brygady o przysłanie informacyj: 1) czy grali podczas istnienia I. Brygady obecną melodię pieśni „My Pierwsza Brygada", 2) kiedy z nią się pierwszy raz zetknęli. Oczekujemy wiadomości.

Redakcja.

Zbliża się jubileusz 20-lecia Biblioteki Narodowej...

Smutne uczucia ogarniają starszego pana, gdy po latach zawita w dawne mury szkolne. Gmach stoi niby na dawnym swoim miejscu, ale dziwne zaistniały w nim zmiany. Tu odpadł tynk, a tam znowu inaczej pomalowano klatkę. Trudno jeszcze ogarnąć pierwsze wzruszenia, że to bądź co bądź dawna „kochana buda", gdy nagle ukaże się jedna, druga i trzecia fizjognomia uczniowska, wprawdzie tętniąca młodością i brawurą, ale zato... obca.

Nie znamy tych chłopców i nie łączy nas z nimi nic innego poza tym, że oni uczęszczają do tej samej szkoły, co i my niegdyś, że siedzą w tej samej może ławce, gdzie się kiedyś różne pozostawiło hieroglify pro memoria aeterna i że wreszcie oni przeżywają te same belferskie historie, co i my niegdyś. Ledwo jednak pokaże się na kurytarzu pan nauczyciel, a nastrój nasz stanie się jeszcze posępniejszy. Kiedyś my byliśmy mali, a nauczyciel wielki, teraz zaś — o dziwo — ten pan profesor, prawie tak samo wygląda jak ja, dawny uczeń, kto wie, może nawet jest młodszy i może uczniowie nie podziwiają go tak bezgranicznie, jak my niegdyś naszych kochanych profesorów, kierowców życia naszego, wdzięcznie wspominanych w pamięci po dziś dzień...

Takie samo wzruszenie ogarnęło mnie niedawno, gdy wziąłem do ręki po latach nowy tomik „Biblioteki Narodowej", która za rok obchodzić będzie jubileusz 20-lecia istnienia. Pamiętam te dawne czasy, kiedy moja Mama finansowała każdy produkt Krakowskiej Spółki Wydawniczej, dziwiąc się, że dawniej arcydzieła literatury w tak błyskawicznym tempie się nie ukazywały. Ani przedwojenny West w Brodach, pierwszy wydawca tekstów z komentarzami i wstępami, ani Zuckerkandel ze Złoczowa, który wolał wydawać teksty bez komentarzy, a komentować tylko autorów łacińskich i greckich, czyli poprostu bryki puszczać w świat, nie pracowali w tak niezmordowanym tempie a przy tym tak precyzyjnie, jak Krakowska Spółka Wydawnicza, zasilająca rok rocznie rynek księgarski kilkunastu nowymi tomikami, nie licząc drugich i trzecich wydań.

W pierwszych miesiącach po odzyskaniu Niepodległości grono entuzjastów z profesorami U. J. Estreicherem i Kotem, oraz dr Muszyńskim na czele, położyło podwaliny pod „Bibliotekę Narodową". Postanowiono wydać wszystkie znamienne utwory literatury polskiej i światowej, a opracowanie każdego z nich powierzyć najwybitniejszemu znawcy danej epoki, czy pisarza. Z latami popularność „Biblioteki Narodowej" rosła, choć — w drugiej zwłaszcza serii, poświęconej autorom zagranicznym — sporo było tekstów, nie mogących liczyć na zbytnią popularność. Drukowano jednak z każdej książki po 10.000 egzemplarzy bez względu na utwór, w przekonaniu, iż uda się „poruszyć z posad" ospałe czytelnictwo i wpoić zamiłowanie do wartościowej, a naukowo wydanej książki.

Szczęście dopisywało Krakowskiej Spółce Wydawniczej, która w pewnym momencie dysponowała nawet majątkiem, przekraczającym ćwierć miliona złotych, ale w miarę urastania lat kryzysowych, a zwłaszcza wobec namnożenia się w magazynach tomów mniej popularnych i w szkole nie czytanych autorów, nastąpiło załamanie i bankructwo. Część wydawnictw sprzedano niemal za bezcen, a „Bibliotekę Narodową" jako taką i jej wydawnictwa odkupił Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Lwowie. Było to w roku 1933. W owym czasie Biblioteka Narodowa miała w swoim dorobku 116 tomów serii pierwszej i 56 tomów serii drugiej.

Rozsprzedanie po tanich cenach, niemal za bezcen, wielu wydawnictw, uniemożliwiło na pewien czas działalność nowego właściciela Biblioteki Narodowej. Trzeba było przeczekać, aż na rynku nie wyczerpały się owe zapasy i trzeba było przede wszystkim zorientować się w całokształcie innych zagadnień (wysokość nakładu, umowy z autorami, opracowującymi już dalsze tomy itd.), zanim można było zająć się kontynuowaniem dalszej akcji wydawniczej. Trwało to dwa lata, w ciągu których nowy właściciel zbadał gospodarkę swego poprzednika i opracował własny program.

W tym miejscu mała dygresja. W międzyczasie zmieniły się nie tylko warunki materialne młodzieży, która wskutek tego nie mogła sobie pozwolić na własne książki, ale zmienił się cały system wychowania w szkołach. Dawne humanistyczne nastawienie ustępowało miejsca jakiemuś nacjonalizmowi z pod znaku piłki nożnej, znaczenie literatury polskiej, jako potężnego czynnika wychowania narodowego, szczególnie dominujące w okresie niewoli, przeszło do historii, a programy nauczania dopełniły reszty. Załamywać chyba trzeba ręce, gdy ktoś, wychowany w dawnych la-

ZYGMUNT REIS

„Tercyny“ Władysława Kościelskiego

Nie będzie to prawdopodobnie „recenzja“. Omawiając zjawiska literackie, unikam tonu już to danego pewnym recenzentom z natury (raczej ich własnej niż z natury rzeczy), już to sobie przez nich uzurpowanego. Nie będę więc klasyfikował ani nawet krytykował; pragnąbym jedynie podzielić się pewnymi refleksjami na temat poezji ś. p. Władysława Kościelskiego.

Instytut wydawniczy „Biblioteka Polska” uczcił w tym roku najpiękniej pamięć swego założyciela wydaniem jego dzieł, t. j. znakomitego przekładu pierwszej części „Fausta” Goethego i Tercyn.

Przekładu omawiać nie będę właśnie jako jeden z tłumaczy „Fausta“. Przez taką pracę staje się dzieło czymś w rodzaju własności, a wiadomo, że „nemo judex in re sua“. Zaznaczę tylko, że jest to wydanie drugie, pośmiertne, poprawione podług zapisków poety i opracowane pod redakcją ogólnie znanego i cenionego germanisty, prof. U. J. P. Zygmunta Łempickiego. Po tej nawiasowej uwadze zdążam już do właściwego tematu, zapowiadanego w tytule, do Tercyn.

Żeby uzasadnić pojawienie się tego artykuliku w czasopiśmie legionowym, mógłbym powołać się na główne tematy „Tercyn“, bliskie chyba byłemu legioniście z czasów wojny, t. j. życie, śmierć i kojarzące się z nimi, jak miłość w życiu, wieczność w śmierci i sławę, co życie pozorami wieczności rozkosznie łudzi.

Jednak i bez względu na ewentualne pokrewieństwo tej poezji z nastawieniem psychicznym legionistów zasługiwałyby one na wzmiankę w czasopiśmie kulturalnym tym więcej, im mniej zakosztował autor jej za życia należnej sobie sławy.

Na myśli, uczucia, nastroje autora „Tercyn“ wpływa mocno jego głęboki stosunek do Boga, do kosmosu w jego świętej, nieogarnionej nieskończoności.

Życie i śmierć — oto główne tematy ziemskich zainteresowań poety. Kojarzą się z nimi dalsze, niejako zbliżone bardziej do sfery ducha, jak miłość w życiu, wieczność w śmierci i sława, co pozorami wieczności rozkosznie łudzi. Ponad wszystkim unosi się atmosfera religijna, objawia się żywy, głęboki stosunek do Boga, do kosmosu w jego świętej, nieogarnionej nieskończoności.

Dusza Kościelskiego targa się w sieci przeciwieństw i pozornych antynomii.

Poeta boryka się z Bogiem, którego równocześnie całą istotą swą pożąda; zawisa niezdecydowanym pragnieniem między niebem, pociągającym duszę, a ziemią rozkoszną zmysłom; drży przed spełnieniem własnych pragnień, bo mogłoby go pozbawić tak żarliwie ulubionej tęsknoty. — Głos Pana, czy też potężna ambicja wzywają go na skalne bezdroża szczytów, podczas gdy pragnienie spokoju kieruje go ku dolinie i niskiej strzesze. Pragnie wielkości i lęka się jej zarazem. — Dając folgę fantazji, lubi wyjrzeć poza przystań rozwagi, jednak, ceniąc tę kierowniczkę życia, zawsze przed groźnym niebezpieczeństwem przepaści osadza wczas rumaka temperamentu. — Duma osobista sprzecza się z głęboką pokorą. Wobec Stwórcy czuje się bowiem już to ziarnkiem piasku, już to równy wspaniałej gwieździe — bo przecież wobec Niego wszystko jest równe.

Opanowany przez przeciwieństwa, skłonny jest też do zwracania uwagi na tego rodzaju zjawiska już to czysto osobiste, w nim samym występujące, już to bardziej ogólnej natury. Problemy pokrewne mu łatwiej go pobudzają duchowo.

Nie może więc dojść do harmonii z Bogiem, którego mu trudno znieść, a do którego stale tęskni, o którym mu cała przyroda każe. Dochodzi do Niego przecież w pewnych chwilach i to nie tyle abstrakcyjną drogą myśli, co raczej chłonąc uczuciem głosy i barwy przyrody. To też rodzajem religijności przypomina Fausta, zwierzającego się Małgosi na temat wiary. Jakkolwiek przez całe życie dąży do rozwiązania zagadnień metafizycznych badawczą myślą i głębokim uczuciem, przekonywa się w końcu, podobnie jak Faust, o ich nierozerwalności.

Radość i ból intensywnością przeżywania odgradzają według niego wieczność, a jednak są równocześnie jednym oknem, przez które w nią spojrzeć możemy. Innym razem twierdzi, że spojrzenie we wieczność przesłania nam ten świat.

Warunkiem miłości jest według poety rozdział, przede wszystkim: przeciwieństwo płci. W ogóle otaczają nas wrogie rzeczy, miłość tylko czasem ku nim most uściela.

Atmosfera kosmiczna zaciążyła nad stosunkiem uczuciowym poety do zjawisk tego świata. Jak kochanek, tonąc w oczach najdroższej, wszechświat odczuwa i podziwia, tak odzwierciedla się kosmos w drobnym pyłku, oglądanym przez Fausta - Kościelskiego.

Rozdwojony między życiem zmysłów a tęsknotą metafizyczną, marzy o spokoju. Musi jednak zawsze dążyć, choć wie, jak Faust, że tęsknota jego zgaśnie dopiero wraz z życiem, że stale szukać będzie, że nie rozgości się nigdzie, lecz pójdzie, gdzie mu „wichr wieczności“... „skronie ochłoszcze“. „Memi godłami wiosło i laska pielgrzyma“. Dążąc do prawdy cierpi i zazdrości szczęśliwszym stworzeniom, co nie jadły, jak człowiek, z drzewa poznania.

Ostatecznie dochodzi, snać — do jedynie dostępnej nam prawdy metafizycznej, że wszystko tu poznawalne jest złudą. Życie i śmierć zarówno, jak ogarniający je czas i że mądrzej nie pytać: „skąd, dokąd i kiedy?“

Jakkolwiek nie zna celu życia, czuje się cegiełką w wielkiej budowie jakiegoś gmachu; tak odczuwa też swój stosunek do ojczyzny...

Osobiste używanie życia nie wystarczy mu więc dla zaspokojenia głębszej tęsknoty. Żeby z wiekiem nie lgnąć do grobowców, trzeba duchem obejmować dalsze pokolenia...

Mimo to chce korzystać z chwili, zanim wszystko przeminie; po Faustowsku pożąda najsilniejszych radości i smutków tej ziemi. Miłość jedynie uważa za silniejszą niż życie i śmierć; ona daje mu słodkie zapomnienie dręczących pytań.

Uznaje tylko tę poezję, co z głębi wezbranej piersi płynie; ceni przeto ból, jako najbogatsze źródło pieśni.

Starałem się przedstawić tak w głównych zarysach materiał ideowy, z którego artysta tworzy całość, złożoną z 5-ciu części, zawierających po 16 misternych tercyn.

Treść nas nie dziwi, jeżeli zważymy, jak bliski był poecie Goethowski Faust.

Ciekawy byłby problem formy. Dlaczego właśnie tercyny i akurat po 16 na każdą z 5-ciu części? Trudno przypuścić, że ten układ wyniknął z najgłębszej istoty twórczości, względnie że forma dostosowała się do treści, lub zgoła wraz z nią się urodziła. W takim razie bowiem, forma zewnętrzna ulegałaby najprawdopodobniej w więszym stopniu zmianom, podobnie jak to się dzieje z nastrojami na przestrzeni dłuższego utworu, więc w przeciągu dłuższego czasu. Taką zmienność szaty zewnętrznej wykazywali często poeci romantyczni. Dbając bardziej o szczerość wyrazu, niż o tradycyjną regularność i prawidłowość form, zostawiali muzie większą wolność, pozwalali jej iść swobodniej za chwilowym natchnieniem. Już sama wyłączność przeto, z jaką autor używa formy tercyn, mimo różnej treści zewnętrznej utworów, każe mi uważać go raczej za poetę klasycznego w tym znaczeniu, w jakim klasyczność stanowi przeciwieństwo romantyzmu.

Poznawszy autora na podstawie wyżej wspomnianego przekładu „Fausta“ jako świetnego mistrza techniki wierszowania, skłonni byliśmy poprostu do przypuszczenia, że pociągała go kunsztowność gatunku poetyckiego i dzięki temu powstało 5×16 tj. 80 wykwintnych poemacików.

Rozważania na ten temat mogłyby jednak zbyt łatwo przekroczyć zamierzone ramy artykułu...

Uwaga na zakończenie:

Kto pragnie duszę znużoną trudem ziemskich dni orzeźwić balsamiczną kąpielą w tajemniczo rozkosznej grocie wieczności, kto umie, śląc wzrok stęskniony ku nieśmiertelnym gwiazdom, rozprzestrzenić w braterskim powitaniu ramiona ducha ku świętym nieskończonościom przestrzeni i czasu, kto jest miłośnikiem wysokich szczytów i wspaniale rozległych widoków, kto wreszcie lubuje się w architekturze szlachetnej, świetnie misternej w konstrukcji, a zarazem uczciwie przejrzystej w motywach — ten znajdzie prawdopodobnie upodobanie w poezji „Tercyn“. Jest to poezja piękna i głęboka.

—o—

tach, zapyta syna, co się teraz w szkołach przerabia z literatury i jak na naszą romantyczną twórczość, jak wogóle na arcydzieła wieszczów, młodzież się zapatruje. Wtedy nasuną się jeszcze posępniejsze refleksje, niż przy wizycie w dawnym budynku szkolnym.

Wszystkie te czynniki — wymagające zresztą oddzielnego omówienia— przyczyniły się do zmniejszenia zainteresowania arcydziełami dawnej literatury, co oczywiście nie pozostało bez wpływu na dalsze losy „Biblioteki Narodowej“. Dodajmy, że w tym czasie przestała też wychodzić „Wielka Biblioteka“, wydawnictwo „Biblioteki Polskiej“, gdzie ukazywały się arcydzieła literatury polskiej i obcej po cenach naprawdę popularnych. Dziś rynek księgarski jest tak mało chłonny, że na rozprowadzenie 3000 egzemplarzy trzeba dwu do trzech lat!

I otóż tak się dzieje, że chociaż redaktorem „Biblioteki Narodowej“ jest dalej prof. Kot, to od czasu przejęcia tego wydawnictwa przez Ossolineum ukazało się tylko 7 (dosłownie: siedem!) nowych tomów, oraz 15 wydań następnych tekstów, w międzyczasie wyczerpanych. Jest już kilka tomików, które ukazały się w ósmem wydaniu.

Za to w najbliższym czasie — jak się dowiadujemy — ukaże się pięć nowych tomów. Będą to: 1) Wybór pieśni narodowej (od Bogurodzicy do czasów najnowszych) w opracowaniu prof. St. Łempickiego, 2) Poezja Młodej Polski, w opracowaniu Boya, 3) Antologia liryki polskiej od Staffa do czasów ostatnich, w opracowaniu dr Borowego, 4) Calderona: Życie snem w opracowaniu dr Edwarda Boye'go i 5) Cervantesa: Don Kiszot, w opracowaniu tegoż Boye'go.

Biblioteka Narodowa przystępuje też do pierwszego eksperymentu. Projektuje wydanie tekstów opracowanych specjalnie dla młodzieży dzisiejszych liceów, czyli opracowanych na poziomie że tak powiem poduniwersuteckim, a więc niższym od obecnego.

(Temat do refleksyj: technicy bez wykształcenia wyższego będą inżynierami, a Biblioteka Narodowa ukaże się, jeśli tak dalej pójdzie, w wydaniu dla fiakierników, bo dzisiejszy student liceum nie zrozumie wstępów ani objaśnień na poziomie prawdziwie naukowym).

Ossolineum odkupiło od Krakowskiej Spółki Wydawniczej również „Teksty źródłowe do nauki historii w szkole średniej“. Tomików takich ukazało się do 1933 roku — 80. Obecnie mają się ukazać dwa dalsze tomiki w opracowaniu prof. Dąbrowskiego.

Stwierdzić wkońcu należy, że Ossolineum obniżyło znacznie ceny poszczególnych tomików Biblioteki Narodowej. *K. T.*

Internatowy Uniwersytet Wiejski TSL w Ohladowie, powiat Radziechów

W ostatnich dniach Towarzystwo Szkoły Ludowej doprowadziło do skutku dzieło, które odegra bardzo poważną rolę w dalszym rozwoju prac oświatowo - kulturalnych, prowadzonych przez T. S. L. Dziełem tym jest uruchomienie stałego Internatowego Uniwersytetu Wiejskiego Towarzystwa Szkoły Ludowej w Ohladowie, powiat Radziechów. — Uniwersytet ten jest jednym z 14 podobnych w Polsce, a pierwszą tego rodzaju placówką w ramach Towarzystwa Szkoły Ludowej.

Przeznaczeniem Uniwersytetu jest szkolenie drogą kilkumiesięcznych systematycznych kursów przy pomocy stałego i fachowego grona nauczycieli wychowawców — zastępu przodowników prac kulturalno-oświatowych Towarzystwa Szkoły Ludowej, którzy sami zawdzięczając swe wiadomości pracy nad sobą, zdobytej drogą samokształcenia i dokształcania, oddziaływać będą na swe najbliższe otoczenie i kierować pracami oświatowymi placówek T. S. L.

Rola tego Uniwersytetu jest tym poważniejsza, że działać on będzie bezpośrednio na terenie Małopolski Wschodniej, gdzie Towarzystwo Szkoły Ludowej prócz wymienionych wyżej prac ma do spełnienia szczególnie odpowiedzialne zadanie — obrony i ugruntowania polskości na terenach zamieszkałych przez ludność polską obok ukraińskiej.

J. B.

Cóż to za Orlęta?

Wychodzi w Poznaniu czasopismo „Orlęta”, miesięcznik polskiej młodzieży szkolnej. Wychodzi i to już nie jeden rok. Zasilane jest widocznie stałymi funduszami, jeśli może się ukazywać na nienajgorszym papierze i w dość pokaźnej objętości.

Nie jesteśmy bynajmniej przeciwnikami pism młodzieży szkolnej. Owszem, uważamy to za rzecz dobrą i ze wszech miar pożądaną, by młodzież miała swoją prasę, by ćwiczyła się w piórze i wyrabiała na dzielnych publicystów. Mamy tylko jedno zastrzeżenie, by pismo takie było pismem uczciwym. Pismo młodzieżowe powinna cechować bezwzględna uczciwość i wysoki poziom etyczny. Pismo młodzieżowe powinno dawać wysokowartościową strawę duchową. Musi stać zdala od wszelkich, nieraz brudnych, rozgrywek politycznych, jakie uprawia prasa starszego społeczeństwa. I nie może, nie wolno mu poprostu karmić młodzieży kłamstwem i fałszem. Jeśli pismo młodzieżowe odpowiada tym wymaganiom, to spełni swoje zadanie należycie, wtedy jest pismem godnym polecenia.

Tej pochlebnej opinii o miesięczniku „Orlęta” wydać niestety nie możemy. Abyśmy nie byli gołosłowni, przytoczymy kilka wyjątków z numeru, wydanego w lutym br.

„A jak jest dzisiaj?— Wzmocniona i rozszerzona władza „czynnika nadrzędnego w Państwie“ — prezydenta jest tylko parawanem kryjącym znów władzę pewnej grupy ludzi, nowej „arystokracji”. Oni pragną tylko zdobyć dla siebie najwięcej korzyści przynoszące stanowiska i najdłużej je w posiadaniu utrzymać. Reszta Narodu trwa podzielona na partie i stronnictwa polityczne, na grupy „zasłużonych” i opozycjonistów, na obywateli klasy: A, B, BB... i in.“ (str. 75).

Po takiej „wnikliwej” ocenie obecnej sytuacji politycznej przechodzi autor do nakreślenia wytycznych na przyszłość i kończy wezwaniem, by pielęgnować w sercach płomień, przekazany w spadku przez „konfederatów Barskich, twórców konstytucji trzeciomajowej, powstańców kościuszkowskich, listopadowych i styczniowych, a wreszcie pogromców bolszewików i twórców nowoczesnego ruchu narodowego“.

Autor jest widocznie dopiero praktykantem w Stronnictwie Narod. jeśli nie wie, że historiozofia endecka uważa powstania polskie za intrygi... masonerii. No i ci „pogromcy bolszewików“ a równocześnie „twórcy nowoczesnego ruchu narodowego“ to jakieś mityczne postacie. Historia ich nie zna. Historia zna pogromcę bolszewików i twórcę Państwa Polskiego, do którego właśnie ruch „narodowy” pałał nienawiścią. I naodwrót, znamy twórcę ruchu „narodowego“, który pogromcą bolszewików wcale nie był, przeciwnie, do Rosji żywił wcale dużą sympatię. Wprawdzie to była Rosja carska, ale zawsze Rosja.

To były próbki historii, oczywiście ad usum sfabrykowanej. A teraz próbka wiadomości geograficznych i trochę polityki zagranicznej:

„Ale też w Austrii nie ma żydów, a gdzie nie ma żydów, tam nie ma niechlujstwa, śmieci i brudu. To jest zasadnicza różnica między naszymi a austriackimi warunkami.

...Położenie tego kraju jest nadzwyczaj ciężkie. Trudności finansowe, bezrobocie, walki partyjne — oto nędze życia Austrii”. (str. 78).

Autor tych „rewelacyj“ powinien dostać surowy monit od swoich wodzów duchowych. Twierdzenie, że w Austrii nie ma żydów, w Austrii, która była azylem światowego żydowstwa i dopatrywanie się w ilości śmieci „zasadniczej różnicy” między Polską a Austrią, jest takim niebotycznym absurdem, że szkoda słów, by wykazywać autorowi kompletne nieuctwo. To odbiera chęć nie tylko do dalszego czytania tego pisemka, ale wogóle do zajmowania się nim.

Na jedno jeszcze, mimo wszystko, musimy zwrócić uwagę. Na str. 78 redakcja zaznacza, że „na innym miejscu wspomina o „współpracy” P. O. W. z... „ukraińcami“. Szukamy dalej. Czy znów jeszcze jedno kłamstwo, o które u tych ludzi tak łatwo? Nawet i to nie. Oto na str. 80 znajdujemy taką notatkę:

„Dziwnie wygląda na tym tle stanowisko lwowskiej P. O. W., która pragnie współpracować z Ukraińcami.”

I ani słowa więcej! Proszę! Raz się mówi o współpracy, drugi raz o chęci współpracy. Stawia się zarzut, którego się ani nie uzasadnia, ani nie usuwa. To są metody szerzone w piśmie młodzieżowym.

Stanowisko lwowskiej P. O. W. jest jasne. Jest tak jasne, że żadnej obrony nie potrzebuje, zwłaszcza, że wogóle polemizować, czy odpowiadać temu pisemku nie myślimy. Zbyt wysoko cenimy sobie poziom „Woli i Czynu”, byśmy mieli polemizować z jakimbądź pismem, — a jeżeli zabieramy głos na ten temat i przytaczamy tu pewne wyjątki to po to, by zwrócić uwagę właściwym czynnikom na treść i charakter czasopisma, masowo kolportowanego w gimnazjach.

Tych kilka cytatów i uwag daje już dostateczny obraz poziomu czasopisma „Orlęta” i jego charakteru. Dalszą ocenę pozostawiamy władzom szkolnym. Obowiązkiem naszym było zwrócić uwagę na treść tego, co daje się młodzieży do czytania. Od siebie pod adresem redaktorów pisma dodamy taką „luźną degresję” (str. 83), by najpierw uzupełnili swoje wiadomości zanim zabiorą się do pisania.

NA ŚWIATŁO DZIENNE

W Brazylii niszczą kawę a u nas książki...

Produkty wytwarzane w nadmiernych ilościach, nie zawsze są tanie. Fabrykanci dbają troskliwie o to, by ceny utrzymywały się na odpowiednim poziomie, a jeżeli produkty psują się, albo też nadmiar nie da się w żaden inny sposób uregulować, pozostaje zawsze jeden jeszcze środek w odwodzie: towar się niszczy. W Brazylii „zbędne” ilości kawy się pali, w dawnej Hiszpanii, w latach urodzaju, pomarańcze topiło się w wodzie, na Węgrzech wina używają do zaprawy przy murowaniu domów zamiast wody, a w Rumunii detto.

Zdawałoby się, że tylko w Polsce nie ma potrzeby stosowania takiej bezmyślnej polityki, szkodliwej dla ogółu konsumentów. Nie bądźmy jednak zbyt skromni. I nas stać na taki gest. Ponieważ jednak jesteśmy narodem kulturalnym, a nie narodem plantatorów kawy, czy wytwórców napoju Bachusowego więc niszczymy... książki. W dawnych czasach niepotrzebne książki nabywane na licytacji u barbarzyńców, względnie odsprzedawane en masse przez wdowy po uczonych, służyły do owijania masła. Owijanie masła w stare i cenne szpargały skończyło się jednak definitywnie z chwilą, gdy władze, ze względów higienicznych, zakazały owijania towarów w zadrukowany papier. Wyjątek zrobiono jedynie dla mydła i kilku podobnych, niejadalnych artykułów. Amatorzy książek odetchnęli.

Od czego jednak technika? Jak się dowiadujemy, jedna z firm wydawniczych, mając na składzie kilka wagonów książek, bardzo wprawdzie cennych, ale znajdujących powoli tylko i stopniowo nabywców — wiadomo, najpierw kupuje się chleb, a potem dopiero arcydzieła literatury — postanowiła zamiast wynająć magazyn i opłacać go w ciągu miesięcy, czy lat, sprzedać cały transport... do papierni, aby książki nad którymi tyle rąk się trudziło, przemienić z powrotem w czysty papier. Wydawnictwo to, zamiast radykalnie obniżyć cenę owych książek, wolało wybrać po kilka tysięcy egzemplarzy i na zniszczenie je przeznaczyć, a w magazynach pozostało tyle tylko tomów, ile, według kalkulacji, powinno było pójść w latach najbliższych.

Czyżby jednak nie było bardziej wskazane sprzedać cały transport, choćby po 30 czy 20 groszy, niż utrzymywać ceny na wysokim poziomie? Bo nam się zdaje, że książek dobrych i tanich mamy mało i nie wolno ich marnować. Nie były to kryminalne romanse. Zniszczono same arcydzieła literatury światowej.

Firma ta widocznie uważa, że arcydzieła literatury jako masowy produkt dla wszystkich są niepotrzebne. Książka ma być artykułem luksusowym, dostępnym tylko elicie ...materialnej.

My sądzimy inaczej.

P. S. Ostatni biuletyn Związku Księgarzy Polskich zawiera m. in. takie propagandowe zdania o książce, zdania, które powinny się ukazać w prasie by szerzyć zamiłowanie do książki. Zacytujemy trzy z nich: 1) Książka zawiera duchową spuściznę pokoleń. 2) Człowiek rozkochany w książkach nie może być nieszczęśliwym. On zawsze ma możność ucieczki od życia w świat książki. Książka go pocieszy, podniesie na duchu, da mu radość życia. 3) Co może zastąpić dobrą, kochaną książkę? Chyba, że nic. Książka bowiem zawsze jest wierną, zawsze jest do dyspozycji, czekając cierpliwie na chwilę, kiedy się nią zainteresujemy.

A co robią Ukraińcy?

Gdy u nas książki się masowo niszczy dla utrzymania mocnej ceny, co porabiają na odcinku kulturalnym Ukraińcy? Czy i oni uważają, że książki i wogóle kulturę należy udostępnić tylko wybranym? Zamiast wyczerpującego omawiania tematu, pozwolimy sobie na naświetlenie jednego fragmentu.

Wiadomo, że wiele spółdzielni ukraińskich uprawiało także w ciągu lat całych sprzedaż papierosów i tytoniu. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że Polski Monopol Tytoniowy powinien dostać order za tak umiejętne z punktu widzenia kupieckiego, rozprowadzenie swoich wyrobów. Jest jednak pewne drobne „ale”. Każda spółdzielnia, sprzedająca wyroby Polskiego Monopolu Tytoniowego, mimo, że Ukraińcy prowadzą na szeroką skalę zakrojoną kampanię abstynencką, zobowiązała się wpłacać jako okup miesięcznie po 12 zł na rzecz „Proświty”, po 12 zł miesięcznie na rzecz „Ridnej Szkoły” i po 1% od obrotu na jakieś inne cele ukraińskie.

Czym jest „Ridna Szkoła” i „Proświta” mówić nie trzeba. Pośrednio więc, choć brzmi to jak paradoks, Polski Monopol Tytoniowy wpłacał regularnie co miesiąc znaczne subwencje dwom ukraińskim instytucjom o charakterze nie tyle kulturalno-oświatowym, ile politycznym.

My niszczymy książki, a Ukraińcy opodatkowują nawet tytoń na książki, oświatę itd.

—o—

KONKURS

na opis powstania i działalności domu ludowego

Komisja Domów Ludowych przy CTO i KR. w porozumieniu z Państwowym Instytutem Kultury Wsi ogłasza konkurs na opis powstania i działalności domu ludowego, chcąc w ten sposób zebrać materiał do opracowania dziejów i dróg rozwoju domów ludowych w Polsce, gdzie będzie można ustalić, jakie tendencje rozwojowe przejawiają się w tej dziedzinie, jakie istnieją trudności, przeszkody i dorobek, kto ten dorobek do życia społecznego wnosi, jaki ma wpływ dom ludowy na otoczenie i t. p.

Opis powinien być nie mniejszy niż 20 stron papieru prośbowego. Opracowanie obszerniejsze i bardziej szczegółowe oceniane będzie dodatnio. Opisy należy nadsyłać do dnia 30 lipca 1938 r. pod adresem: Komisja Domów Ludowych przy CTO i KR Warszawa, Kopernika 30.

Najlepsze prace zostaną nagrodzone.

Wszelkie pytania należy kierować pod adresem: Komisja Domów Ludowych przy CTO i KR., Warszawa, Kopernika 30, tel. 5-12-87.

—o—

CUI BONO?

Wyszedł w Warszawie 1 numer Biuletynu Ewangelickiego (BEw), wydawany co środę dla ewangelickiej prasy periodycznej". Biuletyn zawiera informacje o życiu i pracach kościoła ewangelickiego w całym świecie. Niebyśmy nie mieli przeciw temu, gdyby nie pewna jednostronność biuletynu, na którą właśnie pragniemy zwrócić uwagę.

Ilościowo wiadomości z poszczególnych krajów przedstawiają się następująco: Anglia — 2, Ameryka — 1, Belgia — 1, Czechy — 6, Francja — 6, Holandia — 1, i to wiadomość dotycząca Czech, Niemcy — 1, Słowacja — 3, Szwajcaria — 1, Szwecja — 1, Watykan — 2, Węgry — 1.

Jak widzimy, najwięcej są uwzględnione Francja (6) i Czechy (6), a jeśli do Czech dodamy jeszcze wyodrębnioną Słowację, to przekonamy się, że krajem najsilniej reprezentowanym w biuletynie jest Czechosłowacja (9). Jest to zastanawiające. Przecież Czechosłowacja nie jest państwem o największej ilości ewangelików. W dodatku rzuca się w oczy wybitne czechofilstwo w redakcji komunikatów. Pomijamy komunikaty czeskie. Interesuje nas bliżej to, co jest zawarte w słowackich komunikatach. Jeden z nich (L. 19) zajmuje się jubileuszem „dra Milana Hodży, wielkiego męża stanu", uznając go nie tylko za „bezwarunkowo najwybitniejszego z żyjących polityków słowackich", ale i za człowieka, który „w latach 1917—18 stał na czele niepodległościowej akcji słowackiej". Autor komunikatu zapomniał widocznie, czy tendencyjnie przeoczył właściwych wodzów niepodległościowego ruchu słowackiego ks. Andrzeja Hlinkę i śp. gen. Stefanika, który zginął w niewyjaśnionej do dziś dnia katastrofie, wracając po wojnie światowej na ojczyste ziemie Słowacji. A może pominął tych dwóch wodzów dlatego, że są to osobistości niezbyt miłe dla rządu praskiego?

Zagadkowo brzmi również to „pojednanie" się Hodży z Hlinką. Odsyłamy autora już nie do Pribinovych Oslav w Nitrze, czy kongresu w Piszczanach w 1936 r., — ale do najnowszych manifestacyj i zebrań ludności słowackiej i prosimy o wyszukanie tam choćby nikłych śladów tego „pojednania". Rola Hodży jest nam doskonale znana. Pisaliśmy zresztą o tym w ub. numerze „Woli i Czynu", wykazaliśmy manewry polityczne Pragi, wyzyskując tarcia między nielicznym obozem Słowaków-ewangelików a olbrzymią większością katolików, kierowanych przez ks. Hlinkę.

Ale to jeszcze nic. Szczytem podanych informacyj jest komunikat podany z Szwajcarii. Wiadomość ta jest tak interesująca, że pozwolimy sobie przytoczyć ją w całości.

„Szwajcaria.

L. 22. **O pomoc dla protestantów ukraińskich w Małopolsce** specjalnie zabiegają Czesi w tzw. genewskiej Zentralstelle czyli centrali dla pomocniczej akcji kościołów. Instytucja ta na ostatnim zjeździe, odbytym w Cambridge zajmowała się sprawami polskimi, bardzo krytykując niektóre ustawy, brała w opiekę Niemców, a szczególnie interesowała się rozwojem akcji ewangelizacyjnej wśród Ukraińców w Małopolsce Wschodniej, przeznaczając na to nowe dotacje. Charakterystyczne jest, że tzw. Apidep 90% pomocy czerpie z kościelnych organizacyj ew. reform. Prezesem Apidepu jest prof. E. Choisy — prezes szwajcarskiego związku ewangelickiego. (BEw)".

Wiadomości tej nie uzupełniamy komentarzem, nie wiemy bowiem jakie jest stanowisko Redakcji biuletynu w tej sprawie. Wiadomość ta jest w każdym razie cenna dla nas jako jeszcze jeden dowód „przyjaźni" „braci" Czechów i jako znakomity przyczynek do naszych pojęć o lojalności Niemców z Małopolski Wschodniej. Chcielibyśmy tylko wiedzieć w czyim interesie jest wydawany ten biuletyn.

Uroczystość polsko-ukraińska w Drohobyczu



Uczestnicy polsko-ukraińskiej akademii w Drohobyczu z prezesem p. X. A. Stankiewiczem, która odbyła się dnia 18 marca 1938 r. z okazji Imienin Wodza Naczelnego Wojsk Polskich, Pana Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza.

* * *

Staraniem Polsko-Ukraińskiego Związku w Drohobyczu odbyła się w dniu 18 marca 1938 r. we własnym lokalu przy ul. Mickiewicza 36 uroczysta polsko-ukraińska akademia z okazji Imienin Wodza Naczelnego Armii Polskiej, Pana Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza.

Na akademię przybyła ludność polska i ukraińska nie tylko z miasta Drohobycza, ale nawet z najodleglejszych wsi powiatu drohobyckiego. Część masy narodu ukraińskiego, która przybyła w dniu 18 marca br. na akademię mimo dnia powszedniego, mimo dnia pracy aż do Drohobycza, zdała świetnie egzamin ze swej wierności dla Naczelnego Wodza i Państwa Polskiego, gdyż przybyła na akademię dobrowolnie i z poczuciem obowiązku państwowości polskiej. Na akademię przybyła właśnie ta masa narodu ukraińskiego, z którą, jak powiedział poseł Dr Bronisław Wojciechowski na plenum Sejmu, jest możliwe przeprowadzenie normalizacji, to był właśnie ten dół, o którym poseł Wojciechowski wspomniał.

O godzinie 5-tej wieczorem zaczęła się z okazji Solenizanta Pana Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza polsko-ukraińska akademia z następującym programem:

1. „O Wodzu Naczelnym" — deklamacja w języku polskim, którą wygłosiła p. Helena Petryczka, narodowości ukraińskiej. Prelegentka została nagrodzona rzęsistymi oklaskami.

2. „Marszałek Edward Śmigły-Rydz jako Wódz Naczelny i Obywatel" — przemówienie w języku polskim wygłosił p. Antoni Mrozek, nauczyciel w Drohobyczu.

3. „Pan Marszałek Edward Śmigły-Rydz Wódz Naczelny Armii Polskiej, a naród ukraiński" — przemówienie wygłosił w języku ukraińskim p. Wasyl Antonewycz.

Uroczystość Polsko-Ukraińska w Drohobyczu w dniu 18 marca br., która odbyła się staraniem Chrześcijańskiego Polsko-Ukraińskiego Związku i niestrudzonego jego preesza i organizatora p. Antoniego Stankiewicza, nauczyciela w Drohobyczu, wywarła tak w społeczeństwie polskim jak i ukraińskim niezatarte wrażenie, a zarazem wskazuje drogę tym dwom bratnim narodom, jak należy wspólnie czcić i kochać Wspólną Matkę Ojczyznę Polskę i Jej Wielkich Ludzi.

KRONIKA LEGIONOWO-PEOWIACKA

Oddział Zw. Leg. Pol. — Lwów

Dnia 11 marca 1938 w Świetlicy Oddziału Związku Leg. Pol. wygłosił prof. Antoni Bartkowski odczyt p. t. „Funchal, miejsce pobytu Wielkiego Marszałka" (wspomnienia z podróży na Maderę).

Zapoznawszy licznie zgromadzonych słuchaczy w ogólnych zarysach z Maderą i Funchalem, uderzył prelegent w ton ciepły wspomnień osobistych, w których żywo drgała nuta miłości i czci dla najwspanialszej postaci dziejów naszych. — Prelekcję urozmaicały liczne przeźrocza, jako najlepszy komentarz do słów prelegenta. — Tłumnie zgromadzeni członkowie Oddziału wysłuchali odczytu z zainteresowaniem, oglądając ze szczególnym wzruszeniem obrazy miejsc upamiętnionych pobytem Najdroższego Komendanta.

Dnia 17 marca br. odbyła się w tejże Świetlicy Akademia z okazji Imienin Marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. Prezes Oddziału ob. s. o. Boczar Wiktor uwypuklił w rzeczowym, wyczerpującym przemówieniu stosunek Dostojnego Solenizanta do Twórcy Legionów i Wskrzesiciela Polski i przedstawił Jego żmudną wprawdzie, jednak wytrwałą i bohaterstwem opromienioną drogę poprzez zdobycie Polskiej Niepodległości ku coraz potężniejszej mocarstwowości Ojczyzny. — Wysłuchawszy w skupieniu referatu, powtórzyli słuchacze trzykrotnie z zapałem wzniesiony na cześć marszałka okrzyk „Niech żyje".

Nastąpiła artystyczna część wieczoru. Miłe wrażenie wywołały córeczki legionistów w strojach krakowskich, które wykonały przygotowaną pod kierownictwem ob. prof. Kornagi deklamację chóralną ku czci Wodza. Szczególne uznanie uzyskały w części wokalnej programu: deklamacja p. dr. Stanisławy Rolińskiej i śpiew p. Franciszki Denis-Słoniewskiej, art. oper., w części muzycznej zaś solo skrzypcowe p. Rudolfa Krupy; przy fortepianie dzielnie akompaniował świetnej śpiewaczce i skrzypkowi p. Władysław Kryczyński. Do powodzenia całości przyczyniła się walnie orkiestra wojskowa.

Poziom wymienionych produkcji był naprawdę wysoki, — przeto należy się wspomnianym tu wykonawcom tym serdeczniejsza wdzięczność za uświetnienie uroczystości.

Z działalności Koła T. S. L. im. Józefa Mączki

Znane są wszystkim mniej lub więcej dokładnie cele i zadania Towarzystwa Szkoły Ludowej, znaną jest rola, jaką odgrywało ono w czasach naszej niewoli. Pomijając więc szczegółowe ich omawianie podkreślić należy, że praca dla Polski i podniesienie tej Polski jak najwyżej — oto hasło naczelne i najżywotniejszy program TSL na dzisiaj. Zwłaszcza tu na prastarej Ziemi Czerwieńskiej, gdzie my tylko winniśmy być gospodarzami, a gdzie współzawodnictwo żywiołów obcych i wrogich polskości idzie na podbój naszego kraju, musimy dla pracy TSL wykrzesać z siebie największy wysiłek, aby praca ta wysiłkiem uszlachetniona stała się zgodną, ciągłą, produktywną i łączyła wszystkich Polaków bez względu na różnice polityczne i tarcia osobiste.

Uznając potrzebę takiej pełnowartościowej, apolitycznej pracy, założono w roku 1933 Koło TSL, które dla uczczenia i przekazania potomnym pamięci przedwcześnie zgasłego poety-żołnierza Józefa Mączki, nazwano Jego imieniem. I odtąd chlubi się Koło tą piękną i czystą postacią swego patrona, który nigdzie politycznie nie zaangażowany tylko Polskę miłował nad życie i w pracy dla Niej cel tegoż widział.

Wpatrzone w tę postać-symbol młode Koło im. J. Mączki żywą na przydzielonym sobie terenie rozwinęło działalność. Pikułowice, Prusy, Barszczowice, Kamienopol, Hodowica, Basiówka, Polana — oto etapy pracy Koła w latach od 1933 do 1937. We wszystkich tych miejscowościach w miarę sił i możności finansowych zostawiło ono ślad swej działalności i włożonego wysiłku, czy to pod formą Domu Ludowego, założonych Czytelń lub Ośrodka zdrowia, czy to półkolonij letnich, urządzanych dla dzieci i kursów gospodarczych dla kobiet.

W listopadzie ub. r. zostało Koło im. J. Mączki zreorganizowane, przy czym w opiekę swą otrzymało 13 wsi w północnej części powiatu lwowskiego. Dążąc do podniesienia w nich ducha polskiego, odrobienia nagromadzonych zaniedbań i podkreślenia polskości tej ziemi, rozwija Koło i tutaj ożywioną akcję oświatowo-społeczną. Nie tu jednak miejsce omawiać szczegółowo program zamierzeń Koła i głośno mówić o tym, czego się jeszcze nie zrobiło a co cicho i bez rozgłosu zrobione być musi. Wystarczy stwierdzić, że zaczęta praca posuwa się konsekwentnie i zdecydowanie choć powoli naprzód, to zaś mówi za siebie.

Dotychczas reaktywowało Koło Czytelnię w Zboiskach, Malechowie, Dublanach, Grzybowicach, Wulce Hamulcckiej, a onegdaj założyło dwie nowe w Podliskach Małych i Sieciechowie, gdzie Polacy tamtejsi myśląc i czując po polsku, wyszli z piękną inicjatywą wybudowania w obu miejscowościach kaplic, przy czym uchwalono utworzyć komitety budowy tychże.

Dodać należy, że wszystkie Czytelnie w drodze jednogłośnych uchwał przyjęły imię Józefa Mączki.

W. G.

Warunki prenumeraty: Kwartalnie 1·50 zł. — Półrocznie 3·— zł. — Rocznie 6·— zł. Cena ogłoszeń: cała strona 500 zł., pół strony 300 zł. ćwierć strony 150 zł., za wiersz milimetrowy jednej szpalty 25 gr., w tekście o 50% drożej.

Wydawca: Zarząd Okręgu Związku Legionistów Pol. we Lwowie. Redaguje: Komitet. Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Bogdanowicz

Drukarnia: „Związkowe Zakłady Graficzne", Spółdzielnia z odpow. udział., Lwów, ul. Piekarska 18 — Telefon Nr. 290-05.